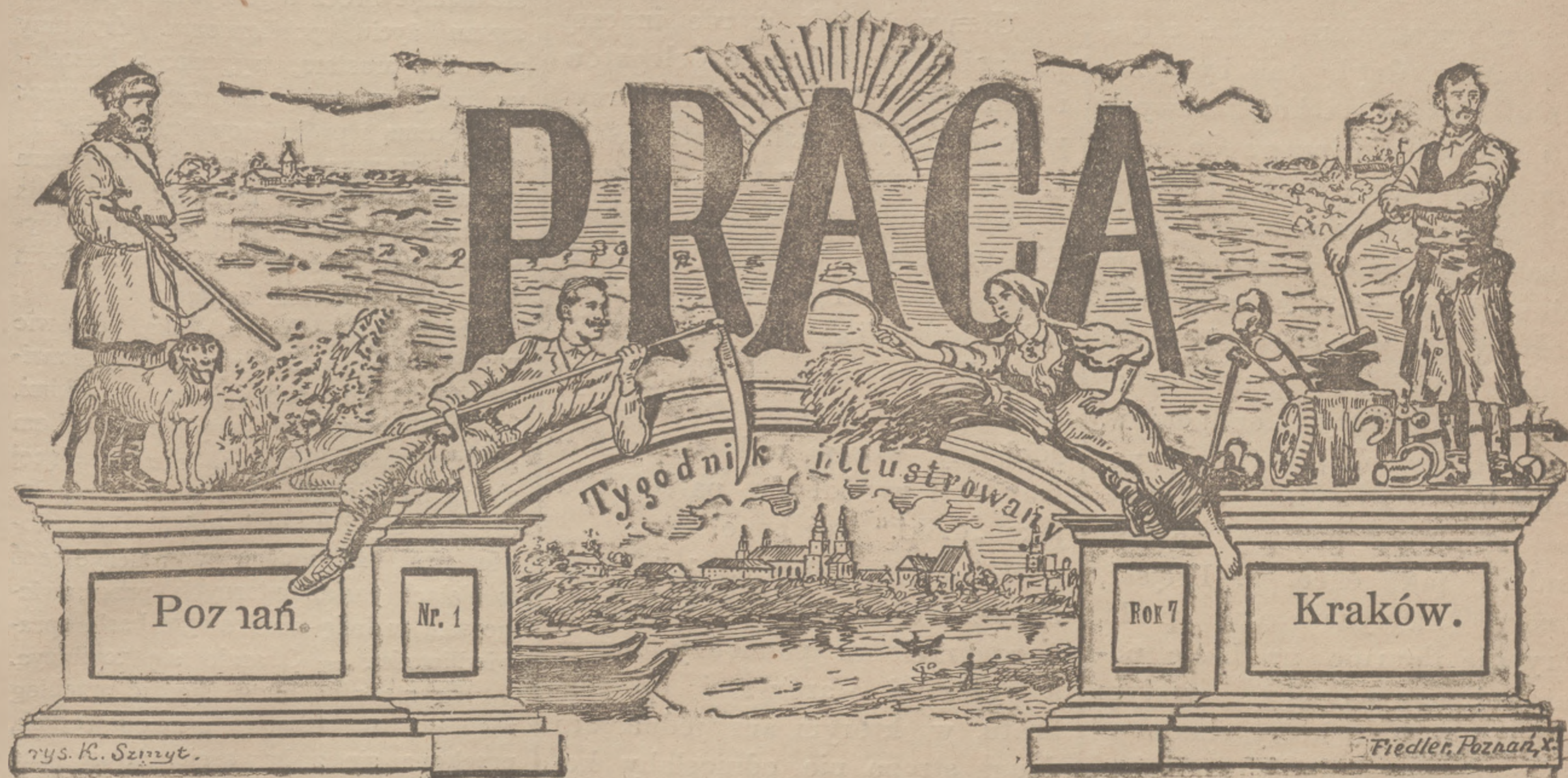
Nr. 18 dnia 3 maja 1903. Rok VI.




# Na ostrzu miecza.

W Prusach Zachodnich rzeczy stanęły na ostrzu miecza. Jesteśmy w przededniu bardzo ważnego przełomowego momentu w społeczeństwie Prus królewskich, w którym koła zachowawcze i duchowieństwo winny zdać sobie jasno sprawę z następstw swej akcyi przeciwko ruchowi ludowemu, ogniskującemu się wokoło osoby pana Kulerskiego.

Dnia 8-go kwietnia przyjdzie do skutku w Pelplinie wspólna narada celem porozumienia się w palących kwestyach. Na porządku dziennym figurują takie sprawy jak stosunki socyalno-społeczne w Prusach Zachodnich, ruch ludowy, prasa, obecny ruch wyborczy i t. d. Z zadowoleniem podnieść trzeba, że komitet urządzający okazał dość zdrowego rozsądku, by nie pójść za głosem ks. Kujota, który w „Pielgrzymie „wzywał do wykluczania z zebrań Kulerszczyków. Odezwa bowiem wzywa na ten wiec “rodaków inteligentnych *z wszelkich warstw społeczeństwa.*“

Wiec taki uważamy za bardzo na czasie.

Sfery zachowawcze, które nie dopatrzyły się rozwoju ruchu ludowego i pierwsze jego przejawy bagatelizowały, musiały się zbudzić do świadomości istotnego stanu rzeczy, zoryentować w nowem położeniu. Wiec pelpliński nastręczy im sposobność do wymiany spostrzeżeń, do policzenia swych sił i do *zastanowienia się nad tem, jakie stanowisko mogą i powinny zająć* wobec kandydatury pana Kulerskiego i ruchu ludowego wogóle.

Czy powstrzymają się w zapędzie przeciwko nacierającej z żywiołową siłą fali ludowej, czy znajdą złoty most do porozumienia, czy też pójdą dalej z szalonym rozmachem przeciwko ludowcom?

Zakusy wyrugowania p. Kulerskiego w okręgu tucholsko-chojnickim rozbiły się w puch, więc można by się spodziewać, że wiecownicy pelplinscy z kół zachowawczych policzą się z tym faktem i skłonią przed nim głowę. Atoli podobno przeciwnicy pana Kulerskiego szukają innej broni przeciw niemu — broni obosiecznej, bardzo niebezpiecznej.

P. Brejski orzekł na wiecu w Czersku, że „zjazd delegatów ma prawo odrzucenia kandydatów proponowanych przez wiece przedwyborcze i mianowania nawet kandydątów na posłów, których nie ma na liście powiatowej umieszczonych!“ Podobno zachowawcy noszą się z myślą pochwycenia tego środka, by ubić kandydaturę znienawidzonego p. Kulerskiego, a więc wytłomaczyć regulamin wyborczy w myśl p. Brejskiego. Tymczasem korespondent z Prus Zach. do jednego z pism poznańskich objaśnia, że według § 21 regulaminu wyborczego „wybiera zebranie delegatów wraz z centralnym komitetem tajnem głosowaniem kandydatów na posłów dla poszczególnych okręgów stosownie do opinii powiatów reprezentowanej przez delegatów.“ W mniemaniu więc wzmiankowanego korespondenta, zebranie delegatów wybrać powinno kandydatów na posłów *stósownie do opinii powiatów.*

Nie jest to tak „jasnem“, jak mniema ów korespondent, który popełnia w swej interpretacy

wzwyż przytoczonego paragrafu ten błąd, iż wyrażenie „stósownie do opinii powiatów“ utożsamia z wyrażeniem *zgodnie z opinią powiatów*. Gdyby tak było, zebranie delegatów i komitetowych nie miało by nic innego do czynienia jak potwierdzać kandydatów stawionych w powiatach. Naonczas też byłoby zbytecznem „tajne głosowanie“. A zatem tłomaczymy ten paragraf tak, iż zebraniu przysługuje prawo ustawienia swej listy kandydatów, przyczem jednak liczyć się powinno ściśle z wolą powiatów. Nie mogliby przeto naszem zdaniem, jak chce p. Brejski, *mianować* kandydata na posła, który nie figuruje na liście powiatowej, lecz mogliby — w tym wypadku n. p., o który chodzi — zepchnąć pana Kulerskiego z pierwszego miejsca na liście a wysunąć na nie kandydata stawionego na drugiem miejscu. Wówczas nie można-by im niczego zarzucić — jeżeli sądzilibyśmy taki akt li tylko według litery paragrafu, bo zebranie postąpiłoby sobie „*stósownie* do opinii powiatu.“ Nie narzuciło-by powiatowi osobistości niemiłej wyborcom.

Kompetencya zebrania delegatów i komitetowych zamyka się w naszem pojęciu w granicach listy kandydatów stawionej przez odnośny powiat. Dlatego też powiaty stawiają trzech kandydatów a nie jednego, aby wskazując zebraniu delegatów na kilku swych wybrańców, dać mu w każdym wypadku możność wybrania kandydata, stósownie do opinii „powiatu.“

Inna atoli rzecz czy byłoby *aktem politycznym*, aby zebranie delegatów chwyciło się tego rozpaczliwego środka w walce przeciwko panu Kulerskiemu. Ponieważ wola ludu objawiła się tak niedwuznacznie, z takim naciskiem za panem K., ponieważ wpływ jego za pomocą „Gazety Grudziądzkiej“ rozlewa się szeroko po Prusach zachodnich — grono delegatów winno zgodzić się na pana Kulerskiego — *w interesie duchowieństwa i kół zachowawczych wogóle.*

Ufamy, że tak a nie inaczej postąpi sobie zebranie delegatów i komitetów, bo nie możemy przypuszczać, aby chciało wystawić się na bardzo możliwy nowy pogrom w okręgu tucholsko-chojnickim. Kto zaręczy bowiem czy wyborcy w tym okręgu uszanowaliby uchwałę delegatów i odstąpili pana Kulerskiego. Otóż jest to bardzo wątpliwem. P. Kulerski zdobyłby wbrew woli delegatów mandat i wszedł do parlamentu jako „dziki.“ Cui bono?

Ufamy, że zebranie delegatów nie zechce doprowadzić do zupełnego przełomu pomiędzy ludem a wyższemi warstwami, do rozbratu, w którym ani jedna ani druga strona nie odniosłaby korzyści, przeciwnie straciły-by obie strony: rozbrat podkopał-by zaufanie do inteligencyi i pozbawił lud jego naturalnych nauczycieli. Nie wolno zatem zebraniu delegatów nadużywać swej władzy ani uzurpować sobie dyktatorskiego prawa przez błędne wytłomaczenie § 21, bo przez to wodzono-by lud na pokuszenie i uczono go niekarności, wyłamywania się z pod rozporządzenia władzy wyborczej i — pogłębiono nieufność ludu do wyżej postawionej braci. Poszkodowanob-y zatem — *sprawę narodową.*

A dalej w walce stronniczej iść *nie wolno*. U wrót dobra społeczeństwa należy złożyć broń. Jakoż zachowawcy winni uznać się pokonanymi, wyciągnąć lekcyą z doświadczenia, a nie zacietrzewiać się w uporze, nie wywoływać potęg nienawiści z łona ludu, nie stawiać sprawy narodowej na ostrzu miecza.

*Quis.*



# Tony i półtony.

Wschodzący bujnie posiew narodowy wśród warstw mieszczańskich i ludowych, nie tylko wynagradza niejedną szkodę, jaką ponosimy skutkiem usuwania się ziemi z pod naszych stóp, ale nadaje prócz tego żywsze tętno naszemu życiu publicznemu. Zrywamy powoli z prastarą, wygodną a bezcelową tradycyą oglądania się na pomoc zewnętrzną i próbujemy liczyć tylko na siebie; zaczyna przejmować nas wiara we własne siły, w możność stawienia zwycięzko czoła wrogim żywiołom, występującym przeciwko nam w zwartym szeregu pod hasłem zagłady.

*Szermierka słowna*, jaką posłowie nasi staczają w Berlinie z przedstawicielami rządu i szowinistami pruskimi, jest właściwie tylko rozgłośnem echem istotnej *walki czynnej*, rozgrywającej się tu na miejscu. Był czas, kiedy łudziliśmy się i z nami łudzili się posłowie nasi, że można wywalczyć coś w ciałach parlamentarnych, przemawiając tam w imię wzniosłego hasła sprawiedliwości. — Okazało się to iluzyą. — Kto ma sposobność śledzić przebieg rozpraw w izbach prawodawczych, przekona się z łatwością, że są one publiczną areną, gdzie wprawdzie używa się jeszcze słów, jak: słuszność, sprawiedliwość i t. p. jako łudzącej przynęty, ale na to tylko, aby tem łatwiej słabych zdławić i podeptać. Jedynym argumentem, mającym tam trwałe znaczenie jest: przemoc. Rachują się tutaj z przewagą liczebną, tłumiąc nią objawy życia narodowego spokojnej ludności polskiej, której wypowiedziano nieubłaganą walkę dlatego, że pokrzywdzona dziejowo, nie ma ochoty, ani wynarodowić się ani umierać; — w stosunku do obcych przybiera owo specyficznie pruskie hasło zazwyczaj symboliczną postać — „uzbrojonej pięści.“

Jeżeli posłowie polscy, przeciwstawiający takim parlamentarnym argumentom przez długie lata dziwną skromność i delikatność wyrażenia, nie zdołali w dziedzinie faktów prawodawczych uzyskać nic oprócz tępicielskich praw wyjątkowych; jeżeli „serdeczni“ przyjaciele z centrum potępiali wprawdzie *głośno* bismarkowską politykę rządu pruskiego, ale wynosili się zazwyczaj *po cichu* z izby, gdy przychodziło do głosowania, to, zdaje się, żaden rozumny człowiek ganić nie może, że niektórzy z naszych posłów, ufni w rosnące siły własnego społeczeństwa, a utraciwszy nadzieję co do *skutecznej* pomocy przyjaciół, nie uderzają w ton uległości, czapkowania i niskich ukłonów, t. j. w melodyą, przy dźwięku której zwykli tańczyć poznańscy ugodowcy, ale w zaczepniejszą i więcej bojową nutę. — Żaden rozumny człowiek — tak, ale mamy przecież „Ku

ryera Poznańskiego," organ odznaczający się niesłychaną bezmyślnością. Zdaje się on uważać za swoje zadanie, walczyć przeciw wszystkiemu, co w naszem społeczeństwie wybija się po nad zwykłą, tak szeroko pomiędzy nami rozpościerającą się mierność — dlatego występuje przeciw dwom niezaprzeczenie dzielnym mówcom parlamentarnym, posłom Chrzanowskiemu i Głębockiemu.

„Kuryer Poznański" nie zdaje sobie sprawy z naszego położenia, które określić możemy, jako narzuconą nam przez rząd pruski i znaczną część ludności niemieckiej walkę o nasz byt narodowy (nie o „resztki"), i nie chce zrozumieć, że istotą i celem rzeczywistej walki jest: nie prawienie grzeczności wrogowi, ale uderzanie całą siłą w jego najsłabsze strony. — Aby zaś nadać sobie więcej powagi i zaczerpnać tak bardzo mu potrzebnych myśli ucieka się szanowny nasz organ do „Słowa Warszawskiego," które wprawdzie stosunków naszych nie zna, ale otrzymało niewątpliwe wskazówki na temat: jak należy prowadzić walkę z osaczającym nas żywiołem niemieckim od p. Antoniego Donimirskiego.

Pan A. Donimirski wie bardzo dobrze, że myśli i idee nie rodzą się z taką łatwością w głowie jak n. p. cukrowe buraki na polu, dlatego, chcąc ostatecznie rozwiązać zawiłą zagadkę, pojechał do Berlina i zapytał się tamtejszych landsmanów, mianowicie pewnego „demokraty starego autoramentu" i pewnego profesora, w jaki sposób mają Polacy prowadzić walkę z Niemcami, aby i wilk był syty i koza cała, to znaczy, aby i kanclerz rzeszy hr. Bülow nie potrzebował skarżyć się na parlamentarną natarczywość posła Głębockiego i „Kuryer Poznański" nie potrzebował kiwać głową nad posłem Chrzanowskim?

Lekcya berlińska przyniosła p. Donimirskiemu nadspodziewane wyniki, dowiedział się bowiem, że „brutalna siła zapanowała dziś w najrozmaitszych dziedzinach," że widzimy n. p. w sztuce „śmiałe rozmachiwanie się pędzlem" lub tak skomplikowane dziobanie dłutem, że nawet berliński profesor jego „istotnego znaczenia rozeznać" a więc i p. Donimirskiemu wyjaśnić nie może, że istnieją dzisiaj (o zgrozo!) „przejmujące dreszczem fanfary muzyczne" i t. p. Tak — tak... żyją niestety w naszych smutnych czasach ludzie widzący „potęgę jedynie w żywiołowej sile," ale mimo wszystko jest nadzieja, iż „masy się uszlachetnią," a landsmany berlińskie wytłomaczą im wtedy, że potęgi szukać i znajdywać ją można jedynie w dobrodusznem kiwaniu palcem w bu... ...rawieniu grzeczności ministrom pruskim.

Uniosłszy taki skarb drogocennych wiadomości, nie spoczywał p. D. prędzej, aż nie podał go ziomkom swoim do publicznej wiadomości na łamach „Słowa Warszawskiego," a „Kuryer Poznański," mający znakomity nos tam, gdzie chodzi o zgniliznę, postarał się, aby te przebłyski berlińskiego geniuszu dotarły aż do nas.

„Kuryer Poznański" nie rozumie w istocie, że zwycięztwo nasze w walce z zalewem germanizacyjnym musiałoby być zarazem materyalną i moralną klęską żywiołu niemieckiego, że więc po wskazówki co do tej walki o nasz byt narodowy, którą nie my wywołaliśmy, ale ci, którzy nas skrzywdzili (bo krzywda jest podstawą walk narodowościowych) nie podobno żadną miarą udawać się do — Niemców. „Kuryer Poznański" nie widzi, że odegrał tutaj rolę — barana, który czując swój byt zagrożony, prosi uprzejmie o radę i opiekę — wilka. — Owe wilki, przepraszam, owi demokraci starego autoramentu i profesorowie lepiej by zrobili, gdyby starali się przekonać swych ziomków, że kamieniem obrazy nie powinien być choćby najostrzejszy ton posłów polskich, dopominających się o sprawiedliwość, ale owo morze ucisku, krzywdy i nienawiści, jakie ich rząd wylewa na głowę uciemiężonego narodu polskiego.

Narody giną krzywdą, wyrządzaną innym — jest to wielka prawda, o której nie śniło się ani „Kuryerowi Poznańskiemu," ani jego przyjaciołom w Berlinie, ani nowożytnemu zwiastunowi „dobrej rady" p. Donimirskiemu z Warszawy.

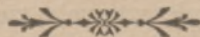
Posłowie nasi występujący w ciałach parlamentarnych przeciw ciemiężeniu słabszych, dopominający się o wymiar praw, podnoszą głos nie tylko w imię potrzeb własnego społeczeństwa, ale także w imię interesu monarchii pruskiej.

System bismarkowski, jaki rząd pruski od dziesiątków lat z wzrastającą bezwzględnością stosuje wobec ludności polskiej, jest czynem antykulturalnym — tego nie zmienią żadne deklamacye na temat wyższości kultury niemieckiej i t. p. — Faktem jest, że Polacy mają swoją *odrębną* kulturę i że zachowują ją i pielęgnują mimo naporu pruskiego. Że na rozmaitych polach cywilizacyjnego życia Niemcy *dzisiaj* stoją wyżej, nie dowodzi niczego i nie uprawnia bynajmniej do systematycznego tępienia narodowości i kultury polskiej. Nie znamy jutra — nic nie przemawia przeciw możliwości, że mimo wszystko kultura polska w ostatecznym rozwoju swoim będzie wyższą od niemieckiej, okazującej już dzisiaj pewne znamiona wyczerpania — w każdym zaś razie będzie i w przyszłości samoistną i odmienną.

Dla „Kuryera," nie umiejącego cenić idealnych dóbr i zamyka... się w niezwykle ciasnym umys... horyzoncie są to może chimery, ale ludzie, umiejący poznać się na oznakach czasu, mogą w istocie odczuwać ów systematyczny gwałt germanizacyjny, zadawany naszej narodowości na polach sądownictwa, administracyi, szkolnictwa, prasy, wciskający się nawet brutalnie do ognisk domowych, jako, przynoszącą kulturalne niebezpieczeństwo — zarazę pruską. A jeżeli tak czują, to dlaczego nie ...by wypowiedzieć otwarcie myśli swych w parlamencie niemieckim, w interesie własnego społeczeństwa, państwa pruskiego i ogólno ludzkiego kulturalnego postępu? Czy dlatego, że są to wyżyny niezrozumiałe dla pruskich przyjaciół p. Donimirskiego, „Słowa Warszawskiego" i „Kuryera Poznańskiego?" — byłby to niezwykle błahy powód.

Nie dziwimy się, że pan profesor Berlina domaga się od naszych posłów więcej „faktycznego materyału," może to być banalny frazes, albo płaska finta dyplomatyczna, obliczona na złapanie najnaiwniejszych, ale że „Kuryer Poznański," który z urzędu powinien wiedzieć o tem, co mówią posłowie polscy, śmie powtarzać takie brednie, mianowicie odnośnie do posłów Chrzanowskiego i Głębockiego, to pachnie po prostu — perfidyą. Na szczęście przyjąć ...my, że to antynarodowe stan... ...ko „Kuryera" pozostanie odosobnionem i że społeczeństwo da mu ponownym wyborem dzielnych szermierzy słowa dosadnią odpowiedź. Może zrozumie on wtedy, że wysila się daremnie i ani jego fanfary, gdy chodzi o gaszenie ducha w narodzie, ani jego półtony i przygrywki pianissimo, gdy chodzi o charakterystykę niekulturalnej hecy, urządzonej przeciw nam przez wysoko i nizko postawionych hakatystów, nie znajdą najmniejszego echa w społeczeństwie, co najwyżej wzbudzą tam zasłużone politowanie.

*Niemir.*



# Pielgrzymka do Rzymu.

**(Korespondencya „Pracy.")**

*...rogi*, 23 kwietnia.

Dnia 20-go kwietnia o godz. 8-mej z rana w kościele Przemienienia Pańs-

kiego, odbyła się msza św. na intencyę pielgrzymów, wybierających się do Rzymu przez Wiedeń, Padwę, Bolonią, Loreto, by w złotej, świetnej, wiecznej Romie, u źródła ożywczego zaczerpnąć na dalsze życiowe boje pociechy, otuchy, łaski, wiary i ufności w lepszą, jaśniejszą przyszłość, tak osobistą jak i narodową.

W skupieniu ducha, wśród żarliwej modlitwy wysłuchała garstka pątników mszy św., składając u stóp ołtarza nietylko intencyę jubileuszową, ale nadto oddając w opiekę Bogu pozostających swych najdroższych i najbliższych, a z prawej strony ołtarza patrzący na nas Chrystus Rafaelowski, zdawał się przemawiać do nas słodką obietnicą: „Zobaczymy się w Pinakotece Watykańskiej."

Jakim On musi być w orginale, ten Chrystus zmartwychwstający, kiedy już i tu w kopii ma taką lekkość, eteryczność i lotność, iż widza chwilami napełnia obawa, aby wznoszący się w niebo Zbawiciel wzbiwszy się jeszcze wyżej, nie zniknął nam zupełnie z oczu.

A tymczasem ksiadz podnosi w górę Ciało i Krew Pańską i pielgrzymi padają na kolana z tą samą wiarą i z tą samą ufnością, z jaką ich prapraojcowie zginali się przed Panem Zastępów. Bo Polska jak była tak jest dotąd — najsilniejszą i najwierniejszą twierdzą katolicyzmu.

Po mszy św. ks. dr. Surzyński przemówił od ołtarza w słowach serdecznych, rozbierając powody i zbawienne skutki pielgrzymki, a po skończonem nabożeństwie rozdawano w Domu Katolickim pątnikom bilety. Niestety olbrzymie zaspy śnieżne nie pozwoliły nam z Poznania o oznaczonym czasie wyruszyć, stąd dworzec zaległy prawdziwe tłumy, snujące się beznadziejnie to tu, to tam, senne i zmęczone. Zjedzono obiad, wypito kawę, a depeszy zawiadamiającej radosną nowinę, że droga do Wrocławia wolna, jak nie było tak nie było.

Ożywiony początkowo ruch w sali milkł i uspakajał się, a im dłużej trwał stan śnieżnego oblężenia i o wyjeździe nie było mowy pomimo nadchodzącej nocy, senność zaczęła chodzić między stolikami, w towarzystwie nudy, a rozmowy milkły i cichły.

Następnego dnia rano, miano się zgłosić po ostateczną decyzyę do Domu Katolickiego.

Tłumy zalegające dworzec od godz. 10-tej z rana wysłuchały z zupełnym spokojem niepomyślnej dla siebie wieści, będącej dla niezamożnych pielgrzymów trzeciej klasy wydatkiem nadetatowym i nieprzewidzianym. Trzeba jednak oddać, nie tylko sprawiedliwość, ale i czynne uznanie dla tej właśnie partyi pielgrzymów, że żaden szmer niezadowolenia, żadna niecierpliwa uwaga lub skarga, nie wyrwała się na ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności, któremu nikt ani zaradzić ani pomódz nie był w stanie.

W ciszy rozeszli się do domów, hoteli i zajazdów, a byli tacy co uprzejmej gościnności doznali u sióstr Elżbietanek, dokąd przez Szanownego proboszcza cerekwickiego zostali zaproszeni.

Jasne promienie słońca, zwiastujące nazajutrz pogodę, wlały w serca pielgrzymów otuchę, a odebrana w Domu Katolickim wiadomość: jedziemy! zgromadziła znów na dworcu wszystkich pątników.

Bieganiny, tam i z powrotem, nie brakowało naturalnie, tak jak i nie brakowało ostatnich a nieodzownych nawoływań mam i ciotek stojących przed zamkniętemi już drzwiczkami „Józio, gdzie Józio?" „Maniu, a masz ty kalosze?" Karolku nie wchódź do katakumb bez paltota" itd. Wreszcie, gdy pociąg już miał ruszyć ksiądz Surzyński niby wódz przed rozpoczęciem walnej bitwy, obiegający swoje pułki, biegał, kontrolował, zapisywał i rachował pasażerów zdobnych w kokardki: białe, żółte, czerwone z medalionikiem papiezkim.

Słusznie powiedział ks. Surzyński od ołtarza dnia ubiegłego, że pielgrzymka pokaże światu naszą piękną, ojczystą mowę, gdyż dawno dworzec poznański nie miał tak rdzennie polskiego charakteru, jak właśnie w chwili wyjazdu pątników.

A obcy, nietylko mieli sposobność słyszeć i podziwiać naszą dźwięczną mowę, ale i nasze poważne, wspaniałe pieśni kościelne, które pielgrzymi śpiewali nietylko w dzień, ale i w nocy.

We Wrocławiu pociąg mający nas zabrać z sobą, już był odjechał i trzeba było nam wsiąść do całkiem innego, który jako niepospieszny nie dostawił nas do Oderberga na czas. Śnieg, wyrządziwszy nam wielką psotę, nieskończenie dużo trudu i kłopotu sprawił samemu księdzu Surzyńskiemu, krzyżując mu wszystkie plany.

Zasłużony nasz dowódzca, z wielką rzeczywiście cierpliwością zwalczać musiał coraz to nowe, a nie przewidziane przeszkody. Depesze biegały na wszystkie strony przynosząc odpowiedzi mniej lub więcej pomyślne. Goniliśmy pociągi, które nie mogąc się nas doczekać, odchodziły zostawiając nas w niemiłej sytuacyi czekania, a naszego przewodnika w kłopotliwem położeniu. Pospiech, niepozwalający zatrzymywać się zbyt długo na stacyach, zmuszał nas do żywienia się zabranemi prowiantami, które, chociaż z braterską sprawiedliwością dzielone, nie zaspokojały naszych apetytów.

Mimo to dobry humor nie opuszczał nas wcale. Przeciwnie nawet, gdy się wysiadło na stacyi, dla wyprostowania choć na chwilę skurczonych członków, w oknach wagonu widziano same uśmiechnięte i rozradowane twarze.

Z Bogumina jechaliśmy do Wiednia całą noc.

Wśród nocy rozlegał się poważny śpiew pieśni kościelnych, a że cisza panowała wśród uśpionej okolicy oblanej błękitnem, srebrnem światłem miesiąca, zdawał się on płoszyć, tańczące tam gdzieś pod lasem sylfy. Może zaniepokojone w swych nocnych korowodach pytały sióstr swoich i błędnych opiekunów, coby to śpiewanie znaczyć miało i zwabione niem, snuły się do rana wśród cieniów nocy, aż nie roztopiły i nie rozwiały się zupełnie przed wschodem słońca.

A wstało ono tak piękne, jasne i wspaniałe jakby chciało stopić w jednej chwili cały śnieg, tamujący nam drogę. Minęliśmy Wagram. Płaskie i jak stół równe pole roztoczyło się przed nami. Że terytoryum takie stworzone do bitwy, zrozumie każdy, patrzący na ten krajobraz choćby nie znał historyi i nie wiedział, że tu wielki Napoleon zadawał klęskę przyszłemu teściowi.

Pociąg pędzi dalej, aby za chwil kilka stanąć w Wiednlu, gdzie czekające na pielgrzymów doróżki przeniosły nas na dworzec południowy.

Choć pora wczesna, bo dopiero szósta rano, Wiedeń już zbudzony i czysto, wspaniale prezentuje się przybybyszom. Mijamy piękny pomnik jakiegoś admirała, co musiał dużo okrętów nieprzyjacielskich potopić, dużo bitew morskich wygrać i ludzi tępić, kiedy aż tak wysoko, na takiej zdobnej w amlematowe łodzie kolumnie, ludzie jego postać wznieśli, wtedy już zapewne, kiedy ci nawet, którzy z jego powodu wiele łez wylać musieli, wtedy, kiedy wszyscy ci, którym szczęście zburzył i zdrowie i życie, przestali oburzać się, cierpieć i płakać.

Powóz skręca w bok i ukazuje się oczom naszym zachwyconym piękny błękit Dunaju.

To co z Wiednia w przelocie można było zobaczyć, zrobiło na nas nadzwyczaj sympatyczne i miłe wrażenie. Snadź to stolica nie byle państewka. Wszędzie pałace ogromne, piękne a skromne świadczą, że nie dorobkiewicz tu panuje, ale pan z panów, co włada dziedzictwem po prapradziadach.

Zaledwie zdążyliśmy spożyć śniadanie, rozesłać karty do krewnych, już znów naczelny dowódzca wołał na nas do wsiadania w pociąg do granicy włoskiej.

Opis drogi przez Semering podam w następnym liście, gdyż nie podobna zbyć go kilku słowy. *O. K.*



# Z TYGODNIA.

*Parlament niemiecki*, jak zaznaczyliśmy w ostatnim przeglądzie, uchwalił zabezpieczenie *tajności wyborów* przeciw głosom rządowców i konserwatystów. Wniosek, posiadający dla nas zwłaszcza w okręgach wiejskich nie małe znaczenie, znanym jest naszym Czytelnikom. Wytłomaczyliśmy bowiem obszernie w jaki to sposób wyborcy mogą teraz zawarować tajemnicę przy wyborach. Nadmienić wypada, że na wniosek pewnego posła z grupy Welfów opatrzono uchwałę dodatkiem, *aby koperty z kartkami wyborczemi wrzucano do zamkniętej urny przez otwór w nakryciu i aby urny nie otwierano przed ukończeniem wyborów.* Dodatek ten poparł z naszych posłów p. *Czarliński* wzywając rząd do czuwania nad tem, by urzędnicy nie wywierali nacisku na wyborców.

*W sejmie* pruskim zajmowano się

ustawą o kolejach drugorzędnych, przy czem poseł p. *I. Głębocki* stawił wniosek, aby rząd uwzględnił petycyę o przeprowadzeniu kolei z Wierzbna do Skwierzyny. Petycyę tę przekazano odnośnej komisyi.

We *Francyi* wre agitacya przeciwko antykościelnym ustawom, przeprowadzonym przez Combes'a, i ludność staje coraz wyraźniej po stronie dotkniętych kongregacyi. Wielkie wrażenie zrobił w całym kraju nakaz zamknięcia słynnej groty w *Lourdes*, gdzie tylu i tylu ludzi odzyskało zdrowie w cudowny sposób. W wielu departamentach rady oświadczyły się przeciwko rozporządzeniu, skazującemu kongregacye na wygnanie i z tej przyczyny wynikły zaburzenia w Nimes, w południowej Francyi, gdzie istniał klasztór OO. Franciszkanów, dalej w Grenoble, gdzie był zakon Kartuzów.

Prasa francuzka zajmuje się rzekomemi wymuszeniami, popełnionemi na Kartuzach. Radykalne pisma wyrażają przekonanie, że ma się tu do czynienia z złośliwą zemstą ze strony Kartuzów. Tymczasem w ministeryum sprawiedliwości obiegała wieść, że istotnie urzędnik nazwiskiem Saint, a zięć ministra handlu zażądał od Kartuzów dwóch milionów franków dla radykalistów w izbie francuzkiej i za tę cenę obiecywał uzyskać dla nich pozwolenie pozostania w kraju. Zarządzono w tej sprawie śledztwo.

Pierwotnie organ wychodzący w siedlisku zakonu Kartuzów rzucił wieść, że *syn pierwszego ministra*, a autora prześladowania zakonów, p. Edgar Combes starał się przez pośrednika wydobyć od Kartuzów milion franków, przyrzekając postarać się o autoryzacyą zakonu. Wieść ta zdaje się być zupełnie pozbawioną prawdy, ale poruszyła umysły w wysokim stopniu. Sędzia śledczy przesłuchiwał w tej sprawie przeora i spisał zeznanie, które jednakże pozostaje dotąd w tajemnicy.

Podobnie jak biskup Zwierowicz, kilku dostojników kościoła we Francyi wystąpiło z uznania godnem męstwem przeciwko prześladowaniu zakonników. I tak *arcybiskup Paryża* protestował w liście do min. Combes'a przeciwko rozporządzeniu wzbraniającemu wygłaszania kazań przez zakonników, ponieważ przyczynia się ono do podkopania religii we Francyi. Jednemu z biskupów rząd zawiesił pensyę, na co tenże odpowiedział jednak, że nic go nie powstrzyma od pełnienia obowiązku.

Walka przeciwko zakonom przyćmiła wznowioną *sprawę Dreyfusa*, którą socyalista Jaures ciągle jeszcze wytacza przed parlamentem. Pragnie on dowieść mianowicie, że do fałszowania dokumentów, na mocy których kapitan Dreyfus został skazany, przyczynił się jenerał Mercier. Ręka sprawiedliwości nie dosięgła jenerała Mercier, bo pułkownik Henri, będący jego narzędziem odebrał sobie życie w więzieniu. Jaures utrzymuje, że jen. Mercier czując, że czapka na nim gore, przed rewizyą procesu Dreyfusa przygotował wszystko do ucieczki do Anglii.

Tymczasem *prezydent Loubet* zwiedza Algieryą, a podróż jego wyrosła do znaczenia międzynarodowego. Na powitanie bowiem prezydenta przybyły także pancerniki włoskie i angielskie, co zaniepokoiło opinię publiczną w Niemczech. Z tego drobnego faktu wysnuwają politycy dalekonośne wnioski. Pomiędzy Anglią a Włochami panował oddawna przyjazny stosunek, Włochy mimo przymierza z dwoma mocarstwami północnemi starają się zbliżyć do Francyi, a w ostatnich czasach zanosi się na ściślejsze porozumienie pomiędzy Francyą a Anglią. Stosunek Francyi do Rosyi bowiem oziębił się i są sfery w Paryżu, które przemawiają za sojuszem z W. Brytanią. Zważywszy to wszystko, politycy niemieccy obawiają się *przymierza tych trzech mocarstw*. Z niezadowoleniem notują także fakt, że prezydent Loubet krótko po wizycie króla Edwarda w Paryżu wyjedzie do Londynu. Nie mniej niemiłem dla Niemców jest to, że eskadra amerykańska, która na zaproszenie cesarza Wilhelma do Kilonii dała odmowną odpowiedź, wyjechała również na powitanie Loubeta w Algeryi. Ile prawdy w tych kombinacyach polityków niemieckich czas okaże; dość, że są one znamieniem niepokoju panującego w berlinskich kołach politycznych, gdzie widzą, że we Włoszech i w Austryi stronnictwa wrogie Niemcom zyskują na wpływie, a Niemcy nie mogą zdobyć sobie sympatyi ani Anglii, ani Stanów Zjednoczonych.

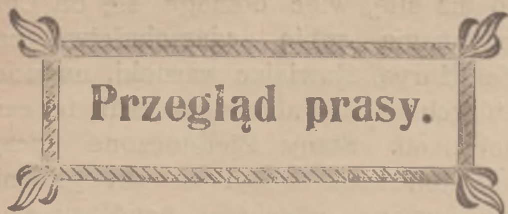
Podczas gdy Europa spogląda z uznaniem na usiłowania pokojowe *Rosyi* na półwyspie bałkańskim, skorzystała zgrabna dyplomacya carska z tego, by odsłonić swe zaborcze zamiary w *Mandżuryi*. Jak wiadomo Rosya przyrzekła wycofać swe wojska z Mandżuryi po pacyfikacyi kraju, chociaż znając politykę rosyjską nie dawaliśmy temu wiary, aby przyrzeczenia swego dotrzymała. W całej sprawie chińskiej Rosya prowadziła politykę na własną rękę, usadowiła się silnie w Mandżuryi i póki mocarstwa miały swe wojska w Chinach, siedziała dość cicho, nie zdradzając swych zamiarów oficyalnie. Obecnie ona jedna ma głos w Chinach, bo ma siłę, więc domaga się od Chin przyznania sobie zwierzchnictwa nad Mandżuryą, stawiając warunki, na mocy których byłaby absolutną panią tej cennej ziemi. Stany Zjednoczone poczytują ten krok Rosyi za akt głównie wymierzony przeciwko handlowi amerykańskiemu, oraz za otwarte sprzeniewierzenie się mocarstwom. I tak jest rzeczywiście, ale cóż wskóra dyplomacya przeciwko wojskom rosyjskim w Mandżuryi? Cóż pocznie Japonia?

Na *Bałkanach* nie zaszła żadna zmiana w położeniu rzeczy. Wielka Porta stara się okiełznać Albańczyków, ale mocarstwa nie mają widocznie zaufania do tej akcyi, bo Anglia proponuje, aby Austro-Węgry zajęły ten kraj. Król serbski wygłosił w rocznicę swego wstąpienia na tron mowę arcywojowniczą, bo wierzy, że nadejdzie chwila, w której Serbia będzie musiała wystąpić czynnie. Rewolucya macedońska, podsycana przez Bułgarów — wyłuszczał król Aleksander — jest skierowaną zarówno przeciwko Turcyi jak Serbii i dlatego rząd serbski nie popiera jej. Z tego wszakże nie wynika, aby Serbia życzyła Turcyi zwycięztwa. Nie chce ona tylko, aby spuściznę po Turkach objęła Bułgarya, która marzy nawet o utworzeniu państwa wielko-serbskiego. Chwilowo nie ulega wątpliwości, że Serbia pozostanie bierną i pozwoli Turcyi zaprowadzić spokój w Macedonii.

Wieści o klęsce Anglików *w kraju Somali* potwierdzają się. Część ruchomej kolumny pułkownika Cobbe wpadła w zasadzkę i niemal cały oddział liczący 200 ludzi wraz z dowódzcą pułkownikiem Płunkettem legł trupem, a dwa działa wpadły w ręce Somalisów. Położenie pułkownika Cobbe'go, który ma tylko teraz 230 ludzi, było nader groźnem; gdyby Somalisi byli wyzyskali zwycięstwo i uderzyli na niego — pułk. Cobbe nie ostał-by się. Na jego szczęście gen. Manning nadszedł dość wcześnie z odsieczą, po drodze stoczywszy podobno krwawy bój z zastępem „szalonego mułły." Czy wyprawa do kraju Somali będzie uwieńczona pomyślnym skutkiem jest rzeczą wątpliwą, gdyż mułła posiada kilkadziesiąt tysięcy dobrze uzbrojonych zastępów.

*X. Y. Z.*






Już to w dyplomatycznych rokowaniach szczęście nam nie sprzyja. Centrum — o którego względy troszczą się tak bardzo nasi kuryerowi politycy — dało nam znów nauczkę. Jak wiadomo w okręgu Leszno — Wschowa istniał układ pomiędzy centrowcami a Polakami, na mocy którego Polacy przy ostatnich wyborach do parlamentu głosowali na ks. Tascha z tem zastrzeżeniem, że przy następnych wyborach a więc obecnie centrowcy oddadzą swe głosy na Polaka. Z góry mieliśmy wątpliwości, czy centrowcy zechcą dotrzymać przyrzeczenia. I cóż pokazuje się? Otóż, jak podnosi *„Dziennik Pozn.“* oficyalny organ Centrum „Germania“ przeczy jakoby istniał kompromis pomiędzy Polakami a katolikami niemieckimi! Nie dość na tem; poczciwa „Germania“ stara się wziąść Polaków na lep obiecanek, bo, jak czytamy w „Dz. Pozn.“:

„obiecuje, że jeżeli Polacy poprą w Lesznie ks. Tascha, w Szamotułach itd. Niemcy katolicy bardzo *prawdopodobnie* poprą hr. H. Kwileckiego.“

„Dziennik Poznański“ widzi czczość obiecanek centrowych i słusznie domaga się oświadczenia ze strony naszego komitetu centralnego w tej sprawie, [illegible]e — wini za tę sztuczkę centrowców [illegible]ch ludowy, dodając ironicznie:

„Coraz lepiej się układają sprawy wyborcze pod „panowaniem kół ludowych.“

Co „koła ludowe“ zawiniły przy tem — niewiadomo. Przecież nie ludowcy wchodzili w ten świetny kompromis z centrowcami, nie oni są zwolennikami dyplomacyi! Ale zapewne „Dz. Pozn.“ przypisuje zachowanie się centrowców „drażnieniu“ niemiecko katolickiej partyi przez Koła ludowe. Tak jak za czasów rozkwitu polityki ugodowej, dwa wielkie organy poznańskie dzisiaj jeszcze mają ciągle na ustach przestrogę. nie drażnić!!

W sprawie kandydatury ***hr. Kwileckiego,*** aspiranta do krzesła poselskiego w obozie centrowym, dowiaduje się *„Dziennik Berliński,“* że

„bawiący w Berlinie posłowie nasi z parlamentu niecierpliwie oczekują sposobności zwołania Koła celem pociągnięcia do odpowiedzialności posła hr. Hektora Kwileckiego.“

Brawo! Przedtem jednak powinni pociągnąć go do odpowiedzialności — wyborcy polscy w obornicko-szamotulskim okręgu!

*„Gaz. Tor.“* powtarzając tę wiadomość za „Dzien. Berl.“ dorzuca od siebie:

„Ciekawe, że jedno z pism poznańskich uznało posła hr. Kwileckiego już po tem, co zaszło za najodpowiedniejszego kandydata polskiego!“

W zeszłą niedzielę odbyło się kilka *wieców,* z których na szczególną uwagę zasługuje *wiec w Opalenicy.* Poseł Cegielski zdawał tam sprawę z czynności poselskich, lecz pod koniec jego przeprzemówienia ludowcy, którzy licznie stawili się na zebranie podnieśli wrzawę i przewodniczący zamiast zebranie zawiesić — rozwiązał je. Z jakiej przyczyny powstał hałas, nie jest zupełnie jasnem. *„Dzien. Pozn.“* tak to tłómaczy:

„W chwili, w której mówił (poseł C.) o kasach chorych, w chwili, w której zaznaczał, że ustawodawstwo poczyniło korzystne zmiany na rzecz robotników, wszczęły się hałasy i wrzawa.

„To właśnie, że w tej właśnie chwili, rozpoczęto wrzawę, daje nam poznać, że przeciwnicy poczęli się obawiać, aby wywody p. Cegielskiego nie ujęły zebranych.

„Piszący te słowa nie zasiadał na estradzie, lecz stał wśród wyborców, słyszał więc podbechtywania i podniety: Nie pozwólcie mu mówić: Teraz czas! Precz z nim! — takie odzywały się głosy.“

Sprawozdawca „Dziennika“ sam zbija twierdzenie, że ludowcy pragnęli rozbić zebranie, bo pisze, że dr. Biały starał się uspokoić hałasujących a powtóre dodaje:

„Zwolennicy p. dr. Felicyana Niegolewskiego z pewnością do tego rezultatu nie zmierzali, faktem jednak pozostaje, że zachowanie się ich do rozwiązania wieca doprowadziło.“

Tymczasem korespondent *„Orędownika“* zapewnia, że przewodniczący (dr. Zuchowski) „zupełnie niepotrzebnie wiec rozwiązał,“ pisząc:

„Wzburzenie i niepokój między uczestnikami wieca był co prawda niemały, ale nie był tak niebezpieczny, by go stósownem przemówieniem jednego z członków komitetu zażegnać nie było można. Nie próbował też przewodniczący bardzo praktycznego w takich razach środka, jakim jest zawieszenie zebrania na przeciąg kilku minut.

W *„Gońcu“* zaś czytamy:

„Postanowiono bowiem za wszelką cenę nie dopuścić do uchwały nieprzychylnej panu Cegielskiemu. Ta stuczka się udała wprawdzie, ale nie dopatrzono się, że przyjaciele jego, którzy go wepchnęli w ogień, sami tę klęskę przyspieszyli.

„Mówią, że następny wiec powiatowy odbędzie się w dniu powszednim, aby utrudnić wyborcom udział w nim. Ciekawa rzecz, czy pogłoska ta rzeczywiście się ziści.“

W inn[illegible] korespondencyi czytamy:

„Na[illegible] rozwiązaniem wieca w Opalenicy [illegible] ubolewać. Szkoda, że wyborcy nie zachowali zimnej krwi. Ugodowcy bowiem mieli tak nikłą mniejszość, że narodowcy mogli byli być pewni zwycięztwa i mogli czapkami zarzucić przeciwników.“

Na *wiecu we Wrześni* przemawiał poseł dr. Dziembowski i został postawiony na liście kandydatów a obok niego książe Radziwiłł i p. Woliński. Lecz *„Goniec“* twierdzi ze zbytnią pewnością, że

„kandydatury te nie mają widoku przejścia, gdyż decydujące dwa powiaty, pleszewski i jarociński, żadnego z powyższych panów nie życzą sobie mieć posłem.“

Równocześnie odbył się *wiec w Pleszewie,* gdzie przemawiał poseł J. Głębocki, który został zawezwany przez miejscowy komitet, nieprzychylny dr. Dziembowskiemu a sprzyjający ruchowi ludowemu. Lista kandydatów w Pleszewie przedstawia się też inaczej od listy wrzesińskiej; figurują na niej pp. F. Niegolewski, dr. A Chłapowski i hr. M. Mielżyński. *„Dzien. Pozn.“* w sprawozdaniu swem dodaje:

„Przyjęto ją *jednogłośnie,* gdy p. W. Grabski z Gołuchowa zaręczył, że szczególnie pierwszy kandydat te same żywi zasady polityczne, co obecny na zebraniu poseł i gdy z łona komitetu, jak i wyborców wygłoszono życzenie, aby p. dr. F. Niegolewski w najbliższym czasie przedstawił się swoim wyborcom i *dał im poznać swoje credo polityczne.*“

Na *wiecu w Inowrocławiu* wyznaczono na kandydatów pp. dr. Krzymińskiego, B. Chrzanowskiego i L. Czarlińskiego.

Ruch ludowy, który ujawnił się dobitnie w Środzie i w Buku i gdzieindziej daje znaki, zaniepokoił koła zachowawcze tak, iż widzą wszystko w jaskrawych barwach. Te bowiem objawy istnienia ruchu ludowego charakteryzuje *„Dzien. Pozn.“* w słowach:

„Na całej linii żywioły radykalne i tn. narodowo demokratyczne po prostu szaleją z politycznego upojenia.“

W artykule tym *„Dzien. Pozn.“* straszy ogół najprzeróżniejszemi okropnościami i apeluje do delegatów, by ratowali sytuacyę, pisząc:

„Zuchwałość, jaką rozbudzają u nas fałszywi prorocy, może nas narazić na niepowetowane straty i *ośmieszyć* (?) przed całym światem. Niech te słowa przestrogi wezmą na uwagę czynniki najważniejsze całej roboty przedwyborczej, mianowicie panowie delegaci i komitet centralny.

„Wobec rozszalałych fluktów (?) tak nazwanej „polityki ludowej“ oni jedni uratować mogą honor (?) nasz, nie tylko narodowy (?) ale i polityczny wogóle — jeżeli już i tam krecia robota nie pozbawiła czynnik ten tak ważny, umiarkowanej większości.“

Natomiast z zadowoleniem notuje *„Dziennik Pozn.“* przychylne stanowisko, jakie zajął *„Orędownik“* wobec kandydatury *księcia Radziwiłła,* który pisze:

„Zwracamy wszystkim zwolennikom partyi ludowej w Ostrowie i okolicy uwagę, żeby nie popełnili grubego błędu taktycznego przez usuwanie kandydatury księcia Radziwiłła z pierwszego na trzecie miejsce. O ile wiemy, ani p. adwokat Czypicki, ani p. dr. Kubacki obecnie nie przyjmą wyboru. Skończyłoby się tak czy owak na kandydaturze ks. Radziwiłła i cała opozycya zwolenników partyi ludowej byłaby bez skutku i miałaby tylko charakter — de[illegible]cyjny.“

Pomiędzy ludowcami w Ostrzeszow

...nowało ostatnie mniemanie, że książę *Radziwiłł* powinien figurować na liście posłów, bo na wiecu *w Ostrowie* został postawionym na pierwszem miejscu a obok niego p. Lipski z Lewkowa i p. Mycielski z Kobylepola.

W *Prusach Zachodnich* przyjdzie do skutku wspólna narada w Pelplinie. „Celem jej — jak pisze inicyator sejmiku — jest porozumienie się i zgoda rozumna, a już dziś pokazuje się, iż porozumienie jest możliwe.“ Sejmik, zdaje się, doprowadzi do pokoju. Zachowawcy przecież zreflektowali się i czują, iż dalej iść nie można przeciwko ludowi, z drugiej strony „*Gaz. Grudz.*“ nawołuje do udziału w sejmiku, pisząc, że szczerze pragnie, „aby w społeczeństwie naszem nastąpiła rzetelna zgoda i porozumienie.“ Rozdwojeniu w Prusach Zach. poświęcamy artykuł wstępny.

„*Wielkopolanin*“ zwraca uwagę na drobny fakt, który zdarzył się na wiecu w Środzie. Gdy proponowano delegata, jeden z wyborców zawołał: „Chcemy mieszczanina!“

„Ten wykrzyknik, to jakby hasło partyjne — pisze „Wiel.“ — Na takie hasło może się kiedyś odezwać hasło: „Chcemy włościanina!“

„A skoro się takie hasło kiedykolwiek odezwie, rozłam na partye mieszczańską i włościańsko-ziemiańską gotów. — Takie łamanie się na partye o ekonomiczno-zawodowym podkładzie wcale nie jest pożądanem, ponieważ u nas jest wbrew twierdzeń przeciwnych spólność interesów ekonomicznych.

„Jeżeli zaś wykrzyknik oznaczał, że pragnie się mieć delegatem reprezentanta stanu średniego, to pojęcie, że „mieszczanin“ wyłącznie go reprezentuje, jest bardzo ciasnem i bardzo mylnem.“

Wykrzyknik ten jest objawem ciasnoty pojęć i parafiańszczyzny, którą należy gromić i tępić jako hamulec w zdrowym rozwoju społeczeństwa.

*B. M.*



# Głosy od przyjaciół.

*Z miasta* 25 kwietnia.

Z mieszanemi uczuciami przykrości i zadowolenia czytałem korespondencyą z miasta w „Dzien. Pozn.“, wytykającą pannie *Skórzewskiej*, firmowej zakładu „*Arcybractwa Najświętszego Sakramentu*“, że ma za zarządcę swych kamienic Niemca-hakatystę najczystszej wody, który wszystkie roboty czy to malarskie, czy inne powierza polakożerczym Niemcom z zupełnem pominięciem Polaków. Wzmianka, która ukazała się nazajutrz po tej korespondencyi w „Dzien.“ zakrawa wprost na *kpiny* czy też na gorzką ironią. Jeżeli autor jej miał na celu bronić czy rehabilitować pannę Skórzewską, to zaiste nie mógł jej wyrządzić więcej niedźwiedziej przysługi. Bo jak broni on pannę Skórzewską? Otóż nie przeczy wcale, że panna Skórzewska powierzyła zarząd swych domów hakatyście, nie przeczy, że tenże popiera wyłącznie Niemców, ale słuchajcie i powstrzymajcie się od śmiechu!—panna Skórzewska ma w jednej z swych kamienic *stróża — Polaka*! Ach! To rozczulające! Niech nikt nie mówi, że panna Skórzewska jest złą Polką, bo przecież daje chleb stróżowi Polakowi!! Wygląda to tak, jakby ktoś ugaszczał ciągle nieprzyjaciół i tylko okruchy spadłe z stołu oddawał rodzinie i na mocy tego twierdził, że jest dobrym dla swej rodziny.

Niefortunny obrońca panny Skórzewskiej ośmieszył się występując z taką obroną i pognębił pannę Skórzewską tem więcej w opinii publicznej. Można mu powiedzieć: si tacuisses—philosophus mansisses. Jeśli zaś działał według wskazówki panny Skórzewskiej, to zatwierdziła ona to mniemanie, które każdy o niej mieć musi, że *jest najzupełniej wyzutą z poczucia obywatelskiego i narodowego.*

Jeżeli panna Skórzewska nie widzi nic zdrożnego w żywieniu polskim chlebem Niemca — hakatysty, jeżeli nie jest Polką — to przecież przynajmniej jako *katoliczka* i to arcy — zagorzała nie powinna mieć zarządcę ewangielika, nie powinna powierzać robót budowlanych wrogom kościoła. A tymczasem kaplicę jej budował ewangielik i jej zarządca jest — ewangielik. Zakrawa to wszystko na *wstrętną komedyą!* Widocznie religijność i przywiązanie do kościoła jest u panny Skórzewskiej tylko na ustach a nie w sercu. Dziwi mnie, że duchowni odprawiający nabożeństwa w kaplicy panny Skórzewskiej, nie zwrócili jej z błędnej drogi, nie pouczyli jej, że Polce nie wolno dzisiaj żywić hakatystów. Przecież księża Polacy przy każdej sposobności zapewniają, że mieszka w nich duch patryotyczny!

Wogóle te rządy panny Skórzewskiej nie imponują mi wcale. Msza odprawia się tam codzień, wzywa się Pana Boga bez końca, ale nad tą kaplicą czuwa hakatysta — luteranin! Gdy do niego się odezwiesz po polsku, może cię, czytelniku, spotkać to, co zdarzyło się pewnej Polce, której zarządca na polskie zagadnięcie odparł w te słowa: „*Machen Sie, dass Sie rauskommen*; ich verstehe nicht *polnisch*! (Niech się Pani wynosi; nie rozumiem po polsku!)

Msza odprawia się tam codzień, ale dziewczęta zatrudnione przy robocie ornatów i kap ślęczą za wynagrodzeniem marnem do późna, by handel szedł.

Msza odprawia się tam codzień, ale panna Skórzewska nie popiera przy zakupach dobrych katolików-Polaków. Nie! Nabywa się monstrancye, kielichy i t. p. we Włoszech lub Francyi od obcych, — którzy, jak się to często zdarza, — kupują je od — *złodziei kościelnych* i oddają nabywcom naturalnie taniej aniżeli uczciwi kupcy. Skradzione te przedmioty każe się odnawiać i sprzedaje do naszych kościołów.

To poprostu — skandal! Że przedmioty kościelne, nabywane zagranicą pochodzą często z mętnych źródeł — słyszałem z poważnej strony, tak iż nie mogę mieć żadnej pod tym względem wątpliwości. W danym razie — wskażę moje źródło.

Oczywiście panna Skórzewska staje się w tensposób niebezpieczną konkurencyą dla naszych i tak już upośledzonych kupców. A gdyby nawet nie podbijała cen — zakład jej nie ma racyi bytu jako przedsiębiorstwo kupieckie. Panna Skórzewska nie wlicza się chyba do stanu kupieckiego, więc nie powinna też podkopywać bytu naszego handlu, kryjąc się pod osłoną dewocyi.

Zdaje się, że dość u nas wieszać się sutanny, dość wystawiać święte figury przed okna, popisywać się ostentacyjnie z bigoteryą i t. p., aby uzyskać poparcie duchowieństwa. Zaprawdę księża nasi winni wejrzeć, co kryje się pod tą świątobliwą przysłonką i położyć koniec temu zamydlaniu ócz przez świętoszków, które jest *arcy*urągowiskiem polskości i chrześcianizmu.

*A. Z.*

*Inowrocław*, dnia 27 kwietnia 1903.

Jesteśmy tutaj jeszcze wszyscy pod wrażeniem wieca, jaki się odbył wczoraj na wielkiej sali „Hotelu Basta.“ Zgromadzonych można było liczyć na przeszło 1 000 ludzi. Gdyby od rana do południa trwający deszcz nie przeszkodził mieszkańcom okolicznych wsi, sala niebyłaby pomieściła słuchaczów; przybyli tylko gospodarze i niektórzy dziedzice powózkami swemi. Punkt o godzinie 3 zagaił wiec przewodniczący komitetu powiatowego p. Marceli Szyper, sędziwy gospodarz z Jacewa mianując przewodniczącym wieca p. dyrektora banku J. Grosmana, który wygłosił „Naukę o wyborach“. W krasomówczem zakończeniu, przerywanem burzą oklasków i okrzykami „brawo“, skreślił p. G. nasze smutne położenie. Mowa ta wypowiedziana z serca przenikła też do serca słuchaczów. Tej też okoliczności zawdzięczać należy, że zebranie nie było burzliwem, jak się wielu spodziewało, aczkolwiek na palnym materyale nie zbywało, gdyż nasz komitet powiatowy przez ostatnie pięcolecie spoczywał w letargu, a poseł dr. Krzymiński postradał zaufanie ludowców, przechylając się niekiedy na stronę ugodowców. P. Grosman atoli trzymał swą porywającą mową słuchaczów na uwięzi, i przeszedł zgrabnym a spiesznym zwrotem do drugiego punktu dziennego tj. do przedstawienia 3 kandydatów na posłów wymieniając na I miejscu: dr. Krzymińskiego, na II B. Chrzanowskiego na III L. Czarlińskiego. Stała się teraz rzecz niespodziewana. Lud rozentyuzmowany mową p. Grosmana huknął hura i jednogłośnie, (prócz kilku intrasiżantów socyalistycznych,) akceptował wymienionych kandydatów. Socyaliści zachowali się stosunkowo spokojnie, chociaż były chwile, gdzie lud byłby na nich uderzył i wyrzucił szkodników narodowych z sali. Pomijając atoli to wszystko, nasuwa się mimowoli pytanie, czy dyktatorskie mianowanie posłem dr. Krzymińskiego, — gdyż o niewybraniu go w naszym okręgu nie ma wcale mowy, — wyjdzie na dobre sprawie ludowej. Znamy bowiem naszego dotychczawego posła, że jest człowiekiem chwiejnym i bez wyraźnych zasad politycznych. Wygłosił wprawdzie swe wyznanie wiary politycznej w nader demokratycznym duchu, ale nie zrobił wrażenia, gdyż wiemy wszyscy, że gdy nasz poseł jest w gronie ludowców, przemawia jak demokrata, ale gdy się dosta

nie w kółko ugodowców, staje się w okamgnieniu reakcyonistą. Czas okaże, czy się lud polski i p. Grosman nie zawiodą, bo wątpliwem jest bardzo, czy p. dr. Krzymiński pójdzie śladem dzisiejszych ulubieńców ludowych pp. posłów B. Chrzanowskiego i J. Głębockiego, z czego — gdyby się stało — Kujawy cieszyłyby się wielce, bo nie miały dotąd szczęścia w wyborze posłów. Pan Grosman wziął na siebie wielką odpowiedzialność, lud mu zaufał, lecz gdyby się zawiódł, wpływ jego zmalałby wśród ludu. Dzisiaj fakt jest dokonany. Wszyscy wiemy kto jest naszym kandydatem i, — chociaż wolelibyśmy widzieć posłem samego pana Grosmana — musimy poświęcić nasze przekonania i wobec naszego tysiącletniego wroga stanąć do urny wyborczej *jak jeden mąż* i oddać swe głosy na dotychczasowego posła.

*Swój,*

---

*Z Prus Zachodnich* 25 kwietnia.

Uważam sobie za obowiązek Szanownej „Pracy“ donieść, iż znana odezwa w „Pielgrzymie“ przeciwko „Gazecie Grudziądzkiej“, obliczona na jej zagładę, pochodzi z pod tego samego pióra t. j. z pod pióra p. Jaworskiego z Lipienek, który swego czasu na sejmiku gospodarczym wraz z p. Szczanieckim z Nawry w tak gwałtowny sposób piorunował na „Pracę“ za to, że krótko przed sejmikiem w tak dobitny a przytem rzeczowy i sprawiedliwy sposób krytykowała owe przestarzałe sejmiki. Ci obywatele rzeczywiście przez te nieszczęsne sto lat niewoli niczego się nie nauczyli, ale też i niczego nie zapomnieli! Chcą oni ten ludek, który się nie poznaje często na ich dążności do utrzymania go w bezdennej głupocie, prowadzić nadal na swym pasku, i ztąd burza! jeżeli ktoś z ludu wystąpi na publiczną widownią.

Zaznaczyć trzeba, że w ten sposób postępowała do tego czasu wyłącznie nasza inteligencya, teraz bardzo tylko rzadko rozsiana po Zachodnio-Prusach. Obecnie zwołał ks. Kujot z Grzybny całe nieomal duchowieństwo w Pr. Zachodnich do walki zapalczywej przeciw „Gaz. Grudziądzkiej“, która to ze swymi 53 tysiącami abonentami poczęła być groźną i niebezpieczną owym żywiołom zachowawczym. Nowi sprzymierzeńcy uprawiają, jak to u nas lud mówi, „z obojga stron“ niesłychaną hecę naprzeciw wydawcy „Gaz. Grudz.“ i chcieliby najchętniej *cały ruch ludowy o jakie 50 lat wstecz cofnąć* pod pozorem usunięcia jakiegoś urojonego niebezpieczeństwa! Próżna to praca i godna tylko syzyfa!

Zaiste śmieszną jest to rzeczą. Każdy z nas wie dokładnie, że nasi kapłani w Zach. Pr. w ruchu ludowym *bardzo mały* udział biorą, na posiedzenia ludowe *z małymi wyjątkami* nie chodzą, ze względu na rząd i otrzymanie tłustego probostwa, które są ich ideałem i marzeniem, ale przyznajemy: *są chlubne wyjątki.*

Lud nie da się otumanić przez takie wywody, jakie to w tej pożałowania godnej odezwie p. Jaworskiego znajdujemy, a chociaż ks. Kujot, jak to twierdzi „ciął całe uczone towarzystwo“ i położył już tylu „na udeptanej ziemi“, *ludu* nie położy, tego olbrzyma *ludu* chociażby za nim jeszcze wielu Zagłobów stało! Ks. Kujot pisze w swoim paszkwilu: „wolno mi z Tobą pożartować.“ Czyż to nie żarty, na które uczony ks. Kujot się zdobył? Szarpie on honor i sławę bliźniego, obrzuca go błotem, wyjawia wszystkie domniemane jego błędy, kolportuje po gazetach wszystkie najniedorzeczniejsze plotki a na domiar urąga praktykom religijnym p. Kulerskiego i odsądza go po prostu od czci i wiary.

Wobec tego wszystkiego dziwić się musimy, jeżeli leibblatt ks. Kujota „Pielgrzym“ w No. 46 nawołuje do „rozumnej a uczciwej zgody.“ I na jakiej to podstawie żąda ów „Pielgrzym“ zgody, ten sam „Pielgrzym“, którego od niedawna grono księży na pół obumarłego do nowego życia wskrzesić usiłuje — dlatego, by „Gaz. Grudziądzką“ na wskroś ludową *moralnie i materyalnie* ubić.

Otóż co głosi „Pielgrzym“:

„Zgoda musi się oprzeć na dwóch filarach.“

1.) Musimy wytworzyć sobie jasny sąd o przyczynach obecnej walki, mianowicie u *kogo!* i *czem były* błędy i zła wola.

2.) Musimy(??) uczciwie i szczerze usunąć to, co było u nas niezdrowem i zepsutem. Drobne uchybienia (może wystąpienie ks. Kujota) można i trzeba wybaczyć. Ciężkie błędy charakteru (niezawodnie p. Kulerskiego!) trzeba *stanowczo zwalczać.* Tylko na tej drodze dojdziemy do rozumnej a uczciwej zgody.

Żąda zatem naiwny „Pielgrzym“ zgody i spokoju grobowego. Niczego więcej nie żądają też od nas Polaków *hakatyści* a zatem w dobrem towarzystwie się znajduje. My zaś, lud, mamy sumarycznie z wszystkiego skwitować, nosa „Boże broń“ nigdzie nie wtykać, posłów inteligencyi nie narzucać, grzesznika Kulerskiego stanowczo zwalczać i zmusić go moralnie do *odstąpienia* od kandydatury a może w końcu w swej nieograniczonej mądrości Kujotowcy nakażą spalić pana K. na rynku zbożowym w Grudziądzu. Moralnie już się od 4 tygodni nad nim pastwią i „oporządzają“ ofiarę swoją — jak to ks. Kujot pisze. — I to na *takim fundamencie* ma przyjść do zgody??

Na tej postawie zgody nie chcemy ani nie szukamy! — Owszem, *podamy Wam rękę,* ale tylko wtenczas, jeżeli uszanujecie wolę narodu i nie będziecie w tak haniebny sposób dalej zwalczać kandydatury p. Kul. chociażby już tylko dlatego, żeby Was nie posądzono, że chcecie, Wy wybrańcy narodu, wszystko pochłonąć.

Jeżeli jednak do upamiętania nie przyjdziecie, nie dziwcie się, że tę trochę powagi, którą się do tego czasu szczycicie, nieodwołalnie zaprzepaścicie!

*Pascal.*

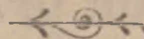
---

# Telegram.

*Rzym.*

Wczoraj to jest w niedzielę rano mieliśmy specyalną prywatną audyencyę u Papieża, dostępując szczęścia ucałowania ręki Ojca świętego. Radość i zadowolenie pielgrzymów nie ma granic. Zostaliśmy specyalnie wyróżnieni wśród tłumu innych pielgrzymek czekających także audyencyi. Szczegółowy opis przyjęcia podam w przyszłym numerze.

*O. K.*



---





# Wiec polski

w Charlottenburgu odbędzie się w *niedzielę 3 maja* punktualnie o godzinie 3 po południu w dolnej sali domu ludowego przy Rosinenstr. 3.

Na porządku dziennym: 1. a) Konstytucya 3 maja. b) Sprawa wyborów do parlamentu. 2) Sprawy kościelne.




## Wspomnienie historyczne.

*Pamiątka ogłoszenia wiekopomnej Konstytucyi 3-go Maja 1791.*

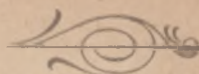
**Malował:** Tedeusz Sulima Popiel.

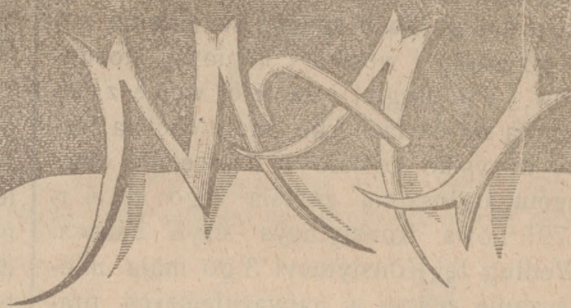


DRUKIEM „PRACY“.



# Dział illustrowany.






Uroczy, świetlany, a wonią owiany,
A dźwięczny, a śpiewny, o błogiż to czas!
Pierś wolniej oddycha, i twarz się uśmiecha,
I serce, jak niwa, jak gaj, kwitnie w nas.

Gdzie ucho człek skłoni, gdzie myślą pogoni,
Jak długi, szeroki calutki ten kraj,
Skróś ziemia z niebiosy zgodnemi brzmią głosy
Pieśń jedną, radosną: Maj, cudnyż-bo Maj!

Gdzie wzrok nasz poleci, to buja śród kwieci:
Na grobach, zwaliskach, kwiat wszędy i kwiat!
I dzikie odłogi, i ciernie, i głogi
Maj luby ukwiecić, umilić nam rad.

Cześć Maju, cześć tobie! Ku świętej ozdobie
Twych kwieci uroczy posłuży nam plon.
Nie skroń swą dziewczęta, lecz Marya Święta
Ich wieńcem otoczy królewski swój tron.

ADAM PŁUG.

Układ i rysunek Juliusza Kossaka.

# Trzeci Maja.

„Niech pokolenia pokoleniom podają
pamiątkę dnia tego.“

Miesiąc maj ma szczególne dla nas Polaków znaczenie. Jest on poświęcony czci Matki Boskiej, Królowej Polski. W r. 1656 Jan Kazimierz, gdy kraj cały był przez Szwedów i innych wrogów najechany i spustoszony, oddał królestwo swoje pod opiekę Matki Boskiej i ślubował uroczyście powściągnąć „ucisk ludu, który sprowadził pomstę Bożą na Ojczyznę.“ Corocznie na pamiątkę tych ślubów bywa odprawiane uroczyste nabożeństwo we Lwowie w pierwszą niedzielę majową.

Niestety o tem przyrzeczeniu ulżenia ludowi zapomnieli panowie i szlachta, którzy wespół z królem oddawali Matce Boskiej w opiekę Polskę i ślubowali, że ucisk braci młodszych zniosą. Byli wprawdzie w Polsce ludzie, zarówno świeccy jak duchowni, którzy nawoływali do zniesienia poddaństwa, do poprawy położenia mieszczan i włościan, do nadania im równych praw ze szlachtą, ale wezwania nie trafiały do serc i umysłów szlacheckich. Przypomniano sobie o ślubach lwowskich dopiero wtedy, gdy zagroziło Polsce poważniejsze niż najazd szwedzki niebezpieczeństwo. Po pierwszym rozbiorze Polski przez trzy sąsiednie państwa — Rosyę, Austryę i Prusy, ludzie mądrzejsi i szczerze Ojczyznę miłujący zrozumieli, że do obrony zagrożonej wolności kraju trzeba powołać jak najwięcej obywateli, bo szlachta, chociaż liczna wówczas, zadaniu swemu nie podoła. A tym nowym obywatelom, ażeby skutecznie Ojczyzny i wolności bronić mogli, trzeba dać równe z innymi prawa, trzeba ich oświecić i podnieść ich dobrobyt.

I oto pomimo przeszkód ze strony państw sąsiednich, zaczyna się w Polsce praca nad pomnożeniem siły narodowej, nad poprawą położenia mieszczan i ludu wiejskiego. Wielu zamożniejszych panów zmniejsza w dobrach swoich daniny i powinności włościańskie, inni znoszą poddaństwo i oddają włościanom grunta za czynsz umiarkowany. Znakomici pisarze Kołłątaj, Staszyc, ks. Franciszek Jezierski, ks. Antoni Popławski, Wybicki i inni piszą o położeniu ludu, domagają się poprawy jego bytu. Założenie sporej liczby szkół nowych i poprawa starych przyczyniają się do wzrostu oświaty. Młode pokolenie szlacheckie, w tych szkołach wychowane, już inaczej patrzy na świat niż jego ojcowie, rozumie konieczność nadania mieszczanom i włościanom praw obywatelskich, spółczuje niedoli ludu.

Zwołany w r. 1778 Sejm, znany później pod nazwą „Sejmu czteroletniego“, zajął się gorliwie sprawą stworzenia silnego rządu i wojska i naprawą stosunków. Po długiej i zaciętej walce z ciemnotą staroszlachecką, która chciała, żeby wszystko zostało w Polsce, po dawnemu, ogłoszona została 3-go maja r. 1791 nowa Konstytucya czyli ustawa. Według tej Konstytucyi 3 go maja mieszczanie zostali w najważniejszych prawach zrównani ze szlachtą, włościanie mniej wprawdzie uzyskali, ale oddani zostali pod opiekę prawa, a więc uwolnieni od samowoli dziedziców, w bliskiej zaś przyszłości miało być położenie ich znacznie polepszonem. Pamiętać trzeba, że ta Konstytucya 3 go maja była pierwszą próbą, była początkiem tych zmian, które kolejno następować miały. Dziś wydawać się nam może wadliwą, ale wówczas miała dla narodu całego i dla ludu wielkie znaczenie. To też w całej Polsce włościanie radośnie powitali wydanie tej Konstytucyi i w rok później obchodzili jej rocznicę jako uroczyste święto.



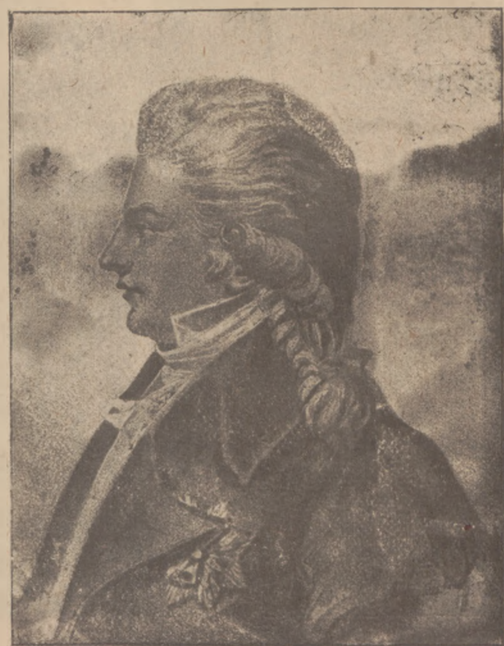
Król Stanisław August Poniatowski.

Niestety, Konstytucya 3-go maja nie wydała oczekiwanych skutków. Pomiędzy niezadowolonymi z niej wielkimi panami i dygnitarzami znaleźli się zdrajcy, z którymi połączyła się część ciemnej lub zaprzedanej im szlachty. Ci zdrajcy zjechali się w miasteczku Targowicy na Podolu, urządzili zmowę przeciw Ojczyźnie i wezwali na pomoc wojska moskiewskie. Moskale porozumieli się z Prusakami, którzy złamali zawarte poprzednio z Polską przymierze i pomimo dzielnego oporu nielicznych wojsk polskich opanowali kraj, a następnie zabrali ogromne obszary ziemi. Po tym drugim rozbiorze przywrócili przy pomocy zdrajców Targowiczan stare, szkodliwe narodowi urządzenia i prawa i znieśli Konstytucyę 3-go maja.

Ale naród polski już się ocknął, lud polski już się rozbudził. W r. 1794 zrywają się Polacy do broni przeciw najeźdzcom, Kościuszko ogłasza powstanie narodowe w Krakowie. Pod jego dowództwem kosynierzy krakowscy zdobywają armaty moskiewskie pod Racławicami; mieszczanie warszawscy z szewcem Kilińskim na czele wyprawiają Moskalom „weselisko krwawe.“

W wolnej Warszawie obchodzi lud uroczyście rocznicę Konstytucyi 3-go maja. Nie nadzieja zwycięztwa nad przemożną siłą wrogów, ale rozpacz nad stratą wolności lud ten poruszyła. To też przypomnienie zdrady, która odrodzenie Ojczyzny zniweczyła, oburzyło lud i popchnęło do krwawej zemsty. Uwięzionym poprzednio zdrajcom wymierzono doraźną sprawiedliwość, wieszając na szubienicach hetmanów Ożarowskiego i Zabiełłę, kasztelana Ankwicza i biskupa Kossakowskiego. Wszyscy ci dygnitarze, powieszeni 9 maja 1794 r. brali pieniądze od rządu moskiewskiego i służąc mu Ojczyznę zdradzali.

Konstytucyę 3-go maja zachował naród polski we wdzięcznej pamięci i dzień jej ogłoszenia obchodzono dawniej w kraju jako uroczyste święto narodowe. Teraz Moskale nie pozwalają święcić nam tej pamiątki jawnie, i nawet w r. 1901 aresztowano w Warszawie kilkudziesięciu studentów za to, że byli na nabożeństwie uroczystem w kościele, a następnie chcieli wejść do Ogrodu Botanicznego, gdzie się znajdują zrujnowane fundamenty kaplicy, która na pamiątkę 3-go maja miała być wzniesiona. Nie tylko my Polacy, ale nawet znakomici mężowie obcych narodów: Anglicy, Francuzi, Niemcy itd. odzywają się



Ignacy Potocki.

z wielkiem uznaniem o Konstytucyi 3-go maja, nazywając ją „wiekopomnem dziełem“, „chlubą narodu polskiego.“ Istotnie, ta Konstytucya, nadająca prawa obywatelskie ludowi miejskiemu i wiejskiemu, jest prawdziwą chlubą naszą. Gdzie indziej lud siłą zdobywał sobie prawa, zmuszał rząd i klasy wyższe do ustępstw. U nas twórcy Konstytucyi 3-go maja, którzy wszyscy ze szlachty pochodzili, sami dobrowolnie zrzekli się części swych przywilejów i wolności, sami dobrowolnie prawa ludowi miejskiemu i ludowi nadali, powodowani jedynie miłością Ojczyzny, bo w podniesieniu ludu widzieli tej Ojczyzny ocalenie. Illustracya albumowa przedstawia zaprzysiężenie Konstytucyi 3-go maja przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, a portrety zamieszczone w tekscie obrazują wzmiankowanego króla, oraz twórców Konstytucyi Ignacego Potockiego, ks. Hugona Kołłątaja i Stanisława Małachowskiego.

*P. K.*




# Swięto Trzeciego Maja.

Z pieśnią słowika na nowo zaczętą,
Z wiosną co ziemię na nowo przystraja,
Witamy cię, polskich serc święto!
Witamy cię, trzeci dniu Maja!

Biedni, dzikiego ojczyma przemocą
Wygnani z matki ochłostanej domu,
Do ciebie idziem pokryjomu
Dniu święty, ze skargą sierocą.

Zdarły się kiry lat żałoby wielą,
Tylko kwiat wspomnień zakrywa łez [plamy:
Więc w kwiatach wspomnienia [witamy,
Witamy cię Polski niedzielo!

Już to w jak najróżniejszej szat prze- [mianie
Żal naszej nędzy przyroda rozbliźnia;
A ptaków radosne śpiewanie
Milczącej boleści podrzyźnia. —

Już to setnym dwunastym obchodem
Krążymy przy dniach, które skamieniały
Posągiem nieszczęścia i chwały
Nad wielkim zabitym narodem.
Więc dalej do uczty koła!
Nalejcie kielichy wasze. —
Niechaj myśl dziko wesoła,
Ożywiona tym napojem,
Świetne wspomnienia wywoła,
Popląsa ze wspomnień rojem,
Zagrajmy, o bracia, w czasze!



Serce, jak kielich zbytku nie zmieści;
Ze szkła pełnego spłyną napoje,
Serce wezbrane płaczem boleści
Rozleje łzy — pocieszenia.

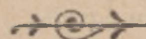
Już sytość hańby nad brzeg wystaje,
Zbyt wielka miara cierpienia,
Łza tylko radości zostaje,
Łza naszego orzeźwienia.

Poćwiertowane Matki naszej ciało
W któreż się strony nie porozpadało?
Lecz silne siłą żywota padalczą,
Pocięte członki drgają jednem życiem,
Matczynej piersi uderzają biciem,
I walczą z chłodem śmierci — i wciąż [walczą;
Niech żyją bracia! niech żyją!
Którzy jednem sercem biją!

W dziecinnych latach za baśnię się brało
Powiastkę nianiek o cudownej wodzie,
Co sprzęga, żywi rozszarpane ciało.
Kto wielkich przodków ma wzory [w narodzie
I kto ich czyny w sercu swojem chowa,
Ten zdoła pojąć, co znaczy baśń owa,
Gdzie strój tej błogiej otuchy;
Cześć Wam, przodków wielkie duchy!

Teraz bracia wasze zdrowie!
Szczęśliwi takich synów ojcowie,
Co szczupłym swoim lękiem niezrażeni
Świętego ognia udzielajac sobie,
Tulą w pamiątkach przeszłe świetne [czyny,
I je na światło wynoszą z cieni.
Szczęśliwsze jeszcze takich ojców syny.
Niechże Maj trzeci, miły nam w żałobie,
Lampę smutku zagasiwszy,
Słońce nadzieji co rychlej rozpłomieni;
Niech żyje Maj trzeci szczęśliwszy!

*S. Goszczyński.*



# Śpiąca królewna.

*(Z ust ludu.)*

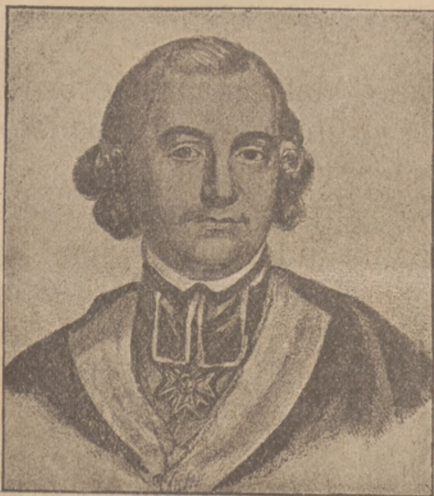
W gór ustroniu jest zacisze: nad ruczajem las dębowy... Kiedy liściem wiatr kołysze, las dziwnemi szepce słowy...

A te szepty któż rozumie w tajemniczym lasu szumie?

Tutaj codzień przed wieczorem stary dziadek ze skrzypkami przesiadując popod borem, sercem słucha, patrzy łzami; zadumany na pniu drzewa, gęślarz śpiewa, śpiewa, śpiewa...

Szept lasu rozumie,
powieść jego zna;
zaśpiewać ją umie,
gdy na gęśli gra....

....„Gdzie dziś stare dęby rosną, gdzie murawa dziś się ściele, kędy ptactwo żyje wiosną, tu, lat temu bardzo wiele, zamek możny stał nad rzeką pod dzielnych tych gór opieką.



**Ks. Hugo Kołłątaj.** (Patrz artykuł „Trzeci Maja").

A rycerze w stal odziani, dzień i nocą zamku strzegą, gdzie królewna piękna pani, a władczyni zamku tego, ubóstwiana przez swe sługi, w szczęściu wiedzie żywot długi..."

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku, graj!...

„Szczęście w zamku długo trwało. Ale na tym łez padole zwykle szczęścia bywa mało... Zesłał tedy Bóg niedolę na królewny zamek stary, kiedy brakło w Boga wiary.

Gdy rycerze wszczęli zwady, miast wierności dla swej pani, nie wahali się już zdrady — na sąsiadów łaskę zdani, swą królewnę im wydali — a ci zamek zrabowali."

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku, graj!...

„Do królewny urodziwej sercem płonął sąsiad młody; sercem płonął, więc czyż dziwy, że ją porwał i na gody wiódł do siebie, zamek wprzódy jej zabrawszy — mimo trudy...

Ale bieda niewzajemną była jemu....

Czyż przebaczy napaść jego tak nikczemną?...

Leje w smutku łzy rozpaczy... A z nieszczęsną żal podziela ludzi wiernych sług niewielu...

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku. graj!...

Ciemną nocy z domu złego biedna pani raz ucieka, lubo komnat jej wciąż strzegą, lubo na nią pan jej czeka.

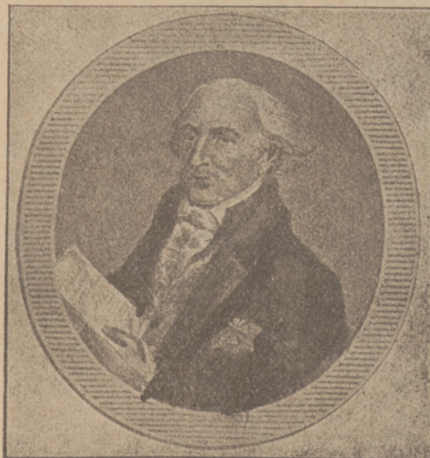
I uciekła z garstką małą sług kilkorga, co zostało...

Gdzie stał zamek, przyszli społem i zastali już ruiny...

Tu królewna padła czołem, jak matka na grób dzieciny i płakała z żalu szczerze — a z nią wierni jej rycerze..."

Szemrze strumyk w dali,
zcicha szumi gaj...
śpiewaj, starcze, dalej,
grajże, grajku, graj!...

„Żal Najświętszej Matce było tak serdecznych łez królewnej, uśpiła ją tedy siłą, ukoiła snem płacz rzewny...



**Stanisław Małachowski.** (Patrz art. „Trzeci Maja").

Gdy królewna już usnęła — i rycerzy senność wzięła...

Tak śpią tutaj w wieczne czasy, a królewna śpiąca z nimi.

Z śpiących wzrosły dębów lasy, mury zamku znikły w ziemi...

Tylko czasem dęby jęczą, gdy królewnę sny zbyt dręczą..."

Jęki dziad rozumie,
powieść lasu zna...
Słucha wciąż w zadumie
i na gęśli gra...

*Kazimierz Kalinowski.*



†

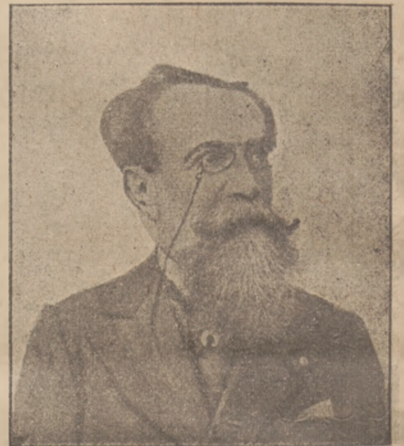
# Ś. p. Henryk Merzbach

rozstał się z światem dnia 20 z. m. w Brukseli. Był to poeta i literat niepośledniej miary i jako taki był współpracownikiem wielu pism polskich.

Znane są jego zbiorki poetyckie, które wydawał w Brukseli jako właściciel firmy wydawniczej C. Muquardt pod tytułem: „Z wiosny" i „Z jesieni", a z prac publicystycznych zasługuje na szczególną uwagę „Joachim Lelewel w Brukseli".

Pod pseudonimem Agricoli pisywał stale swe „Listy z Belgii" do „Kuryera Warszawskiego".

— Cicho siedzę w swojej skorupie, — mówił sam o sobie Henryk Merzbach, — pracuję ciągle, mając lat sześćdziesiąt przeszło.



**Ś. p. Henryk Merzbach.**

— Co po mnie zostanie? Nic. Parę wierszydeł, pisanych za młodu u nóg kochanki, albo na cześć ojczystej ziemi, której nie widziałem tyle lat! Trzy tomiki poezyi, które wydałem, to sarkofagi, mieszczące prochy mego burzliwego życia. W „Lutni" wyśpiewałem poemat rozmiłowanego szaleńca; „Z wiosny" — to młodzieńcze marzenia o lepszych czasach, które nas wszystkich, utopistów, kołysały czas krótki; pieśni „z Jesieni" są oddźwiękami smutnych, bezsennych nocy...

Ktoś inny temi słowy scharakteryzował Merzbacha:

„Poetyczna tradycya o wędrowcu, który błąkając się po obcych ziemiach, między obcymi ludami, wśród stosunków całkiem innych, niż za młodu, nosił na piersi w woreczku jedyny talizman — grudkę ziemi z ojczystego zagonu i w stanowczych chwilach życia nieustannie w nią się wpatrywał, znajduje urzeczywistnienie w kolejach życia Merzbacha. W zaraniu młodości rozbił on namioty swoje wśród narodu, który z tradycyi swojej ani z usposobienia nic wspólnego z naszemi stosunkami nie miał i nie ma. Odrodzona po wiekach

niedoli i zawisłości od Holendrów Belgia, osłoniona w swej autonomii opieką traktatów, nie zagrożona utratą najdroższych dóbr swoich, zażywająca w spokoju i dobrobycie szczęśliwości iście kupieckiej i przemysłowej — „zatyła i sfilistrzała“ jak mało który z narodów. Każdy inny przybysz ze stron odległych, wciągnięty w wir stosunków towarzyskich obecnej narodowości, zatraciłby z łatwością tę spójnię, jaka go z kolebką wrażeń dziecięcych i młodocianych kojarzyła. Henryk Merzbach, narówni z owym tradycyjnym wędrowcem, nie zerwał drogocennego węzła domowych stosunków młodości, lecz zachowawszy w duszy grudkę wspomnień rodzinnego ogniska, umiał wypielęgnować w duszy piękny kwiat miłości do wszystkiego, co zaraniu lat młodzieńczych przyświecało.“

Określenie jest słuszne. Mimo 39 lat przeżytych po za granicami kraju, Merzbach nie zerwał serdecznych węzłów z ziemią ojców. Cześć Jego pamięci!

*—ski.*




*„Tosca“* — tragedya w 4-ch aktach Wiktoryna Sardou.

Autor sztuk tej miary co „Rabagas“ lub „Nasi najserdeczniejsi“ zawiódł nadzieje, gdyż wszedłszy w służbę Mamony obniżył skale swej twórczości, wyzbył się artystycznych aspiracyi.

Z literata, łączącego z iście francuzkim nerwem dramatycznym i ogromnem poczuciem sceny zmysł spostrzegawczy i satyryczne właściwości pióra wyłonił się z biegiem czasu zgrabny, doskonały fabrykant spektakli — specyalny dostawca popisowych dramatów dla „boskiej“ Sary Bernhardt, która kunsztowi Sardou zawdzięcza część swej „boskości“ i swego złota. Autor i artystka zawarli niejako spółkę, która prócz świetnych zysków materyalnych dała Sarze sławę, a autorowi — lekceważenie w świecie literackim. Syt rozgłosu autor przeobraził się w rzemieślnika, który w swym romantycznym zamku w Bretonii zabawia się skrupulatnem ulepianiem sensacyjnych „bomb,“ które niby aktor w świetle kinkietów, odgrywa sam przed sobą w blasku swego złota, by wystudyować efekty, rozkoszować się wrażeniem, jakie sytuacyą lub zwrotem wywrze na nerwach tłumów. Smyczkiem sensacyi wygrywa on na nerwach widzów wszystkie prymitywne tony, z maestryą skończonego w technice wirtuoza. Więc trzyma w napięciu nerwy publiczności przez wszystkie sceny i akty, potęgując stopniowo tragiczne efekty aż do zenitu jakby chciał galeryę doprowadzić do histerycznego stanu, lecz skoro zapadnie kurtyna — wszystko pierzcha, muzyka nerwów głuchnie i w duszy pozostaje jedno wielkie — nic. I wynosimy do domu zadowolenie z wieczoru spędzonego interesująco i pewien podziw dla kunsztu dramatopisarskiego pana Sardou.

Treść „Tosci?“ Nie będę jej opowiadał; kto lubi krwawe dramaty w barwnej szacie niech pójdzie do teatru. A kto nie lubi — z pewnością nie ciekawy tragicznych losów śpiewaczki Tosci i malarza Cavaradossi.

Podziwiam odwagę pani Orwidowej. Aby targnąć się na rolę Tosci, trzeba mieć po za sobą sumienne studya, których beneficyantka jeszcze bodaj nie przeszła. Przez studya, poparte rutyną nabywa aktor poczucie autokrytycyzmu, poznaje granice swych zdolności, zdobywa artystyczną miarę i wówczas dopiero z królewską pewnością siebie potrafi zapanować nad audytorym. Kreacya Tosci wymaga potężnej żywiołowej siły, stemperowanej i ujętej w karby umiejętnie dobranych środków aktorskich, a nadto wymaga ogromnej intuicyi erotycznej i temperamentu południowców. Aktorka zatem winna przedewszystkiem posiadać sztukę kochania na scenie; wlać w swe ruchy strumień subtelnych zmysłowych przynęt, instynktownych pożądań i omdleń, w swą mimikę — blaski wiosennego słońca i żar południowego nieba, w swą dykcyę — kaskadę pieszczotliwych dźwięków i czarownych oddźwięków sercowych. A pani Orwidowa nie posiada właśnie tej struny erotycznej, dlatego sceny z kochankiem wyszły blado, nieśmiało. Zresztą pod względem głosowym zauważyliśmy w ostatnich czasach u pani Or. znaczny postęp. Jednakże zabrakło jej w starciach z Scarpią metalowych dźwięków. Najlepiej odegrała pani O. scenę przedostatnią, na wieży San Angelo, — szczerze przejąwszy się sytuacyą. Wogóle młoda aktorka wyszła z trudnej próby — z uznaniem, z wielu kwiatami i oklaskami.

Bardzo odpowiednią rolę dla siebie miał p. Andruszewski. Odtworzył też nikczemnego prefekta policyi niemal doskonale.

Wszystkie inne role spycha na drugi plan Tosca. Nawet kochanek jej Mario nie wielkie ma zadanie. P. Wiślański miał szczęśliwy wieczór; dyskretnie i poprawnie sekundował Tosce. Republikanina Angelotti'ego odegrał dobrze p. Stradiot, chociaż zbytnio akcentował strach przed pogonią. P. Kalinowski w rolach „kawalerów“ nie czuje się w swej skórze.

Panna Grabowska była poprawną królową, p. Poleński śmiesznym margrabią, p. Turski dobrym szpiegiem, p. Czerniak bardzo sympatycznym kościelnym.

Ładne dekoracye i kostyumy przyczyniły się korzystnie do malowniczego tła.

* * *

***„Rozwiedźmy się,“***
*komedya Wiktoryna Sardou.*

Trzyaktowa komedya Sardou wznowiona w zeszłą sobotę a znana bywalcom teatru zdawna, pochodzi z okresu, w którym francuzka literatura dramatyczna obracała się w zaklętem kole kwestyi małżeńskiej. Matrymonialny trójkąt figurował zarówno w psychologicznych sztukach dumasowskich jak w lekkich płodach bulwarowych wodewilistów. Niedawno dopiero wyparł go z sceny heroiczny dramat Rostand'a. Echa epoki Napoleońskiej zagrały fanfarą w literaturze popularnej, ogół, stęskniony za romantycznemi czasy, rozmiłował się w barwnych obrazach z zamierzchłej epoki wielkości i światła, wszelako w beletrystryce i w wodewilu zawsze jeszcze sprawy małżeńskie stanowią temat ulubiony, interesujący i arcypodatny dla pisarza scenicznego.

Można zaś wywróżyć śmiało, że kwestya ta pozostanie nadal studnią dla literatury pięknej, dzięki swemu ogólnoludzkiemu charakterowi oraz okoliczności, że w nowoczesnych społeczeństwach kwestya matrymonialna stała się sporną, stała problematem, ogniskującym w sobie prądy nowej ery w umysłowości.

W „Rozwiedźmy się“ autor płynie w płytkich wodach, z francuzkim szykiem dotyka po wierzchu kwestyi rozwodowej i daje nam komedyą, trochę płaską, lecz pełną ruchu i życia.

Mąż powszednieje w oczach żony dlatego, że jest — mężem, a nie kochankiem, naodwrót amant posiada urok dlatego, że nie jest mężem. Aby wyleczyć ukochaną żonę z mrzonek rozwodowych, pan Prunelles chwyta się fortelu: godzi się na rozwód, przyzwala na związek jej z kuzynem. Z tą samą chwilą wszakże, gdy odsunął się od niej, gdy Cyprienne czuje się wolną, wczorajszy mąż poczyna ją interesować. Porównuje go z niedoszłym kochankiem a przyszłym mężem i okazuje się, że ów wzgardzony mąż nie jest wcale tak złem stworzeniem, by zamieniać gona

innego. W roli kochanka jest on stokroć powabniejszym od ośmieszonego kuzyna. Więc po dobrej kolacyi pani Prunelles stanowczo wyrzeka się rozwodu, składa amanta z urzędu i pada w objęcia męża.

Komedya tocząca się żywo szlakiem graniczącym o farsę, spoczywa całkiem na łasce wykonawców, którzy mogą ją zrobić albo nudną i trywialną, albo zajmującą, wesołą. Z werwą, humorem winni aktorzy grać ją od początku do końca, a bawiąc się sami — zabawią publiczność...

*Roman Rola.*



# Piosnka.

Gdyby był pod słońcem kraj,
Gdzieby zawsze kwiecił maj,
A od dworu do lepianki
Królowały Poznanianki, —
Gdyby był gdzie taki raj...
To anieli na lazurach
Łamaliby skrzydła w chmurach,
Aby zapaść w taki kraj!
A ta nasza szara gleba
Nie pragnęłaby już nieba,
Mając u się nowy raj,
Swieżą wiosnę w każdy ranek,
Słodkie usta Poznanianek,
Wieczną miłość, wieczny maj!
. . . . . . . . . . . .
Gdyby był gdzie taki kraj!...

*K. L.*



# KRONIKA,

*czyli wyprawa po fiołki i niezapominajki.*

Zaprzeszłej soboty z rana opuściłem mroczne mury miasta Poznania i udałem się na wieś na fiołki. Marzyłem, że w niedzielę nad ranem zbudzi mię słońce, że wybiegnę na delikatną zielenią lśniące łąki i może nad brzegiem ruczaju spostrzegę pierwsze niezapominajki. Slicznie marzyłem, lecz rzeczywistość była fatalną.

Zaledwo pociąg wyruszył z Poznania zaczęły tańczyć przed oknami wagonu białe płatki, uwijały się wesoło, osiadały na szybach, zupełnie jak roje białych motyli. Początkowo bawiło mię to, w końcu zaczęła mię niepokoić wielka masa tych białych motyli. Wyjrzałem uważniej przez szybę okna wagonu i przekonałem się, że to zamieć śnieżna w całem znaczeniu tego słowa. Lecz przecież w niedzielę, w dniu słońca, słońce promiennie wejrzy z za chmur i pod siłą jego żaru pierzchnie ten całun śnieżny, zamieni się w mgły, spłynie wodą, nie będzie go i tem rozkoszniej fiołki wychylać będą swe piękne główki z zielonej murawy, i tem jaśniej błękit niezapominajek odbijać będzie od śnieżnych smug, kryjących się jeszcze w zagięciach łąki przed zwycięzkiem spojrzeniem słońca.

Takiemi myślami uspakajałem się kładąc się do snu w sobotę wieczorem, chociaż wichura wyła straszliwie i nieprzyjemnym chłodem napełniała świeżo opalony pokój dworu wiejskiego, do którego wybrałem się z tak poetycznemi zamiarami.

W niedzielę z rana obudziłem się rychło. Okna były zasłonięte, wichura zcichła.

Pokrzepiony tym pozornym spokojem, uchyliłem zasłony. — Żegnajcie fiołki i zapominajki — zima zawitała w dniu 19-go kwietnia, pola pokryte śniegiem, drogi zawiane, gdzie tylko zagłębienie, gdzie tylko krzewy, gdzie płoty śnieg leży na metr i więcej.

Skwasiło mi to humor i już tylko przemyśliwałem nad tem, jak dostać się do mrocznych murów miasta Poznania. Nadaremnie męczono mnie przysmakami wiejskiemi, wreszcie po obiedzie, w milczeniu spożytym, oświadczyłem, że czas mi wracać.

— Panie — odzywa się rządzca wsi drogi zawiane.

— Jakto? Przecież wiosna, odrzekłem z pewną złością — więc śnieg w południe musiał stajać.

— Proszę wyjrzyj pan na świat Boży — mówi mi rządzca włości.

— Nie chcę. — Dodaję, że unikałem ostentacyjnie patrzenia w okna.

Pani domu widząc mój zły humor — uspokoiła mię zapewnieniem, że mię jakoś do kolei odwiozą choćby mi dano do pomocy ze sześciu chłopów z łopatami, ale nie wie, czy pociągi w tej zamieci śnieżnej kursują. Mimowoli podskoczyłem na krześle, miałem gorzkie myśli, lecz ułożyłem usta do słodkiego uśmiechu i rzekłem:

— O pani, przy porządku pruskim i zamieć śnieżna nic nie znaczy.

Zaraz ztąd powstała dyskusya polityczna, bo całe zebrane liczne towarzystwo po prostu wpadło na mnie, zarzucając mi, najwyraźniej, iż jestem ugodowcem, bo mam zaufanie do pruskiego rządu.

— Ależ nie, wołam, nie jestem ugodowcem, tylko dziś pragnę, aby się okazał porządek pruski, aby Prusak, który nie obawia się nikogo prócz Boga, a więc także nie obawiający się śnieżnej zawiei, zmiótł przedemną szyny, aby pociąg, którym odjeżdżać zamierzałem, szczęśliwie mię dowiózł do Poznania.

Nie chciano mi wierzyć, zaczęto się odemnie odwracać, widziałem spojrzenia pełne pogardy, a pani domu, która mię dotąd wyróżniała, rzekła znowu do rządzcy: Każ pan, zaprządz dla pana.

Słowo to mię ucieszyło, choć ton mię ubódł. Lecz cóż robić, fatalność mię ściga w tej wyprawie. Zamiast fiołków i niezapominajek, znalazłem miano ugodowca.

Jeden z gości zlitował się nad mem odosobnieniem i zapyłał dlaczego się tak spieszę do Poznania.

— Panie, odrzekłem, przybyłem na wieś, aby naocznie przekonać się o rozwijającej się przyrodzie, aby napisać coś nastrojonego na temat fiołków i niezapominajek. Słowem szukałem wiosennego tematu do mej „Kroniki."

— Jak to pan pisujesz Kronikę?

— Nie Kronikę, lecz daję Kronikę tygodniową do jednego z pism poznańskich.

— Do jakiego? — pytały chórem panie, panienki, starzy i młodzi — wrzeszczał malec siedmioletni, skrobiąc się po mnie w górę.

— Tajemnica! — odrzekłem.

— Tajemnica — mówiono przeciągle — pewno pan pisujesz Kroniki do jednego z pism ugodowych.

— Nie ma takich w Poznaniu — odrzedłem, lecz wreszcie mogę powiedzieć — pisuję Kroniki dla „Pracy." Muszę być dziś wieczorem w Poznaniu, aby wrażenia swe ułożyć.

Ledwo powiedziałem, że pisuje Kroniki dla „Pracy," rozjaśniły się oblicza, nie dosłuchano reszty mych słów, lecz zaczęto mię przepraszać.

— A jeżeli tak, to cofamy nasz zarzut o ugodowości. Nie, kto pisuje do „Pracy" ugodowcem być nie może..

Byłem uratowany w opinii.

Pani domu żegnała mię najczarowniejszym uśmiechem, na co pan domu aż marsa nadawał, i wołano za mną do widzenia, gdym ginął w tumanach szalejącej śnieżycy.

Już opisywać nie będę, ile razy chłopek uzbrojony w łopatę, dodany stangretowi do pomocy, gonił uciekający w wichurze śnieżycy mój kapelusz — jechaliśmy lekką bryczką — ile razy trzeba było schodzić z bryczki, utykającej w śniegu — dosyć, że dostałem

się na dworzec koleji. Tu czekałem mimo wychwalanego porządku pruskiego 4 czy 5 godzin na pociąg, który o tyle godzin się spóźnił. Wreszcie po jednem tylko utknięciu pociągu w zaspie śnieżowej, szczęśliwie dostałem się do Poznania, i postanowiłem uwiecznić w Kronice i ową niezwykłą na tę porę zadymkę śnieżną i moją niefortunną wyprawę na fiołki i niezapominajki.

*Alfa.*



# Wiadomości.

— **Walne zebranie przedwyborcze** na powiat Koźmiński odbędzie się w poniedziałek, dnia 4-go maja b. r. o godz. 1 po poł. na sali hotelu du Nord w Koźminie.

Porządek obrad: 1) Zagajenie. 2) Nowy regulamin wyborczy dla Wielk. Księstwa Pozn. 3) Sprawozdanie poselskie. 4) Wybór trzech kandydatów poselskich do parlamentu. 5) Nauka o wyborach. 6) Walne głosy.

O liczny udział prosi

Komitet wyborczy powiatowy.

— **Z Wystawy obrazów.** Przypominamy Szanownym Czytelnikom, oraz osobom, które już nabyły roczne rodzinne bilety, aby zwiedziły Wystawę, bowiem prace obecnie znajdujące się na niej, ustąpią niezadługo miejsca innym dziełom sztuki. Jak również podajemy do wiadomości, że dla członków naszej Wystawy jako premium na rok bieżący wydawane będą do wyboru biusta dużych rozmiarów: Mickiewicza, Sienkiewicza lub Słowackiego. Prócz tego zakupionych będzie kilka rzeźb i obrazów współczesnych artystów i rozlosowane będą pośród członków. Zachęcamy niniejszem Szanowną Publiczność do nabywania rocznych rodzinnych biletów, bowiem tym sposobem przyczynią się do zapewnienia egzystencyi stałej Wystawy obrazów, jak również dadzą możność sprowadzania dzieł prawdziwej artystycznej wartości.

Zarząd.

— **Pan Edmund Piotrowski** otworzył w dawniejszym składzie „Italia" przy ulicy Szkolnej 15 handel towarów kolonialnych, delikatesów, win i cygar. Specyalność makarony. Rzutkiego, przedsiębiorczego i pracowitego rodaka polecamy względom Publiczności.

— **Pani J. Kmiecikowska**, właścicielka renomowanego składu stroju i towarów krótkich, dawniej H. W. Mąke w Gnieźnie przy ulicy Tumskiej 5, poleca na bieżący sezon wiosenno-latowy wielki i gustowny wybór damskich kapeluszy w najmodniejszych modelach, oraz wszelkie nowości sezonowe tylko w pierwszorzędnym towarze po cenach rzetelnych, niewygórowanych. Skład ten pracowitej i przedsiębiorczej rodaczki polecamy gorąco poparciu Szanownych Czytelniczek.

— **Kto chce dobrze**, tanio i rzetelnie nabyć jakibądź instrument muzyczny lub też samogrający niech się uda z zaufaniem do fabryki takich instrumentów p. *F. Niewczyka* przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 14 blizko kościoła św. Marcina w Poznaniu. Instrumenta samogrające są bardzo stósowne na podarki okolicznościowe n. p. na imieniny. Pan N. ma na składzie towary przeważnie własnej fabrykacyi oraz sprowadzone tylko z fabryk pierwszorzędnych, mianowicie instrumenta samogrające, automaty i t. p. Na towary sprowadzone z fabryk udziela p. N. przy zakupnie gotówką 5 proc. rabatu. Z fabryką połączony jest warsztat reparacyjny wszelkich instrumentów muzycznych, samogrających i automatów. Na żądanie wysyła p. N. katalogi bezpłatnie i franko.

Pan N. znany jest powszechnie jako pracowity, pilny, rzetelny i rzutki przemysłowiec, to też przedsiębiorstwo jego polecamy gorąco łaskawym względom Szanownych Czytelników.

— **Panowie Krenz i Kaniewski** w Poznaniu przy ulicy Nowej Ogrodowej 46 (na św. Łazarzu) przyjmują rysunki, kosztorysy i wykonują wszelkie w zakres budownictwa wchodzące prace po cenach umiarkowanych. Na anons zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności; niech nie zapomina o rodakach i darzy ich zleceniami licznemi!

— **Pan J. Krąkowski**, majster stolarski przy ulicy Podgórnej 8, poleca w dziale ogłoszeniowym wielki wybór mebli, przeważnie z własnej pracowni. Niech hasło „Swój do swego!" nie będzie czczym frazesem i niech Szanowna Publiczność przy zakupnie mebli nie zapomina o p. J. Krąkowskim.

— **W odpust św. Wojciecha** odbyło się w mieście naszem uroczyste wprowadzenie księdza Kościelskiego na probostwo św. Wojciecha. W uroczystym pochodzie wprowadzono nowego proboszcza w otoczeniu licznego duchowieństwa, bractw, cechów, stowarzyszeń kościelnych i tłumu parafian wśród śpiewu: „Kto się w opiekę" do kościoła. Przed drzwiami kościelnemi odprawiono przepisane modlitwy. Aktu dokonał ks. dziekan Kotecki, który przemówił do nowego proboszcza i wręczył mu dokument nominacyjny i klucze kościoła a zarazem odezwał się do parafian, wzywając ich do posłuszeństwa dla proboszcza. Poczem przemówił nowy proboszcz ks. Kościelski do parafian w krótkich, ale treściwych słowach. Następnie odbyła się procesya. Nabożeństwo celebrował ksiądz proboszcz w asyście dwóch kleryków.

— **Landbank** berliński, który swoją działalnością prywatną popiera cele komisyi kolonizacyjnej, rozparcelował w siedmiu latach 73,610 hektarów między 2013 nabywców i utworzył 909 nowych gospodarstw włościańskich. Kupował majątki w Księztwie Poznańskiem, w Prusach Wschodnich i Zachodnich, w Brandenburgii, na Pomorzu i na Ślązku. W Księztwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich musiał, jak oświadcza w swojem sprawozda[illegible]u rocznem, w ostatnim czasie ograniczyć [illegible]ją działalność, ponieważ żądania rolników [illegible] są zbyt wygórowane z powodu nabywa[illegible]ia majątków przez komisyą kolonizacyjną.

— **K[illegible]ścian.** W drugie święto wielkanocne ode[illegible]grała orkiestra p. L. Durczykiewicza z Cz[illegible]mpinia na sali p. Lurca koncert, z które[illegible]o publiczność bardzo zadowoloną była.

† **Chełmno**[illegible] W mieście naszem zmarł nagle w 68 roku [illegible] życia zacny obywatel dr. Franciszek Cza[illegible]la, lekarz wielce zasłużony, mianowicie [illegible]około zakładu leczniczego Sióstr Miłosierdz[illegible]a, którego był prawdziwym opiekunem i [illegible]obrodziejem. Rodzina opłakuje zgon najle[illegible]szego męża i ojca, który umiał czworo [illegible]zieci wzorowo wychować na zacnych, pracow[illegible]itych obywateli. Syn jeden jest adwokat[illegible]em w Bytomiu, drugi poświęcił się stanow[illegible] duchownemu, trzeci górnictwu, córka prz[illegible]ed kilku miesiącami wyszła zamąż do Berlin[illegible] za p. Gościckiego, kupca, Polaka, plenipo[illegible]tenta jednej z największych fabryk drogeryjn[illegible]ych pod Droznem. Serce zmarłego biło zawsze gorącem tętnem dla spraw narodowych. R. i. p.

— **Łasin.** (Zach. Pr.) W tutejszej okolicy zakupują gospodarze polscy chętnie posiadłości. W Błonowie przeszły w ostatnim czasie 3 gospodarstwa w polskie ręce, gdyż w pobliżu znajduje się kościół katolicki. Nie rad wcale temu „Geselligerek„, który bardzo nad tem biada, iż w stronach dawniej czysto protestanckich co raz więcej osiedla się Polaków katolików.

— **Jarosław w Galicyi.** Polski zegarmistrz, który się przez „Pracę“ zapytywał, gdzieby znalazł pole zarobku, zrobiłby zapewne dobry interes, jeżeli znając w doskonałości swoją specyalność osiadłby w mieście naszem. Gnuśna, wygodna, wynarodowiała garstka Polaków zaczyna się budzić. — Nowoczesna Targowica oddała przemysł i miasteczko w ręce żydowskie. Mnóztwo zegarmistrzów żydów, ani zaś jednego Polaka; ani jednego bławatnego sklepu dla ludu; a fabryk doskonałych płócien i sukien nie brakuje w Galicyi (Korczyn, Łańcut etc). Wyborny dentysta polski, na którym dopiero przy końcu życia zaczęli się Polacy poznawać, umarł. I toby trzeba obsadzić. Jednem słowem wszyscy robotnicy polscy, jak stolarze itd. pomimo chęci pracy giną przez nawał i siłę żydów z jednej, brak poparcia od swoich z drugiej strony.

### *Zmarli.*

*Ś. p. Zygmund Radoński* dnia 19-go z. m. w Rzeżowie pod Kowalem, w Król. Polskiem.

*Ś. p. Stanisław Hulewicz,* były właściciel Kościanek i Uścięcina, dnia 20-go z. m. w 80-ym roku życia w Mielęcinie. Spuszczenie zwłok do grobu familijnego w Graboszewie pod Wrześnią odbyło się dnia 27-go z. m.

*S. p. Leopold Habdank* Paliszewski, porucznik byłych wojsk polskich z r. 1830, odznaczony krzyżem virtuti militari, dnia 23-go z. m. w 92 roku życia.

## Ruch w Towarzystwach.

— *Kolonia n. R,* Tutejsze Towarzystwo polskie „Skała“ urządza w dziewiątą rocznicę założenia swego, dnia 10-go b. m. w sali Overstolza przy ulicy Eigelstein nr. 51 wieczornicę. Program wielce urozmaicony, między innemi będzie odegranym obrazek dramatyczny p. t. „Łobzowianie.“ Początek o godzinie 6 wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Nabożeństwo odbędzie się o godzinie 9 w kościele św. Andrzeja.

Wszystkie życzliwe nam Towarzystwa oraz Rodaków zapraszamy na powyższą uroczystość najuprzejmiej.

Zarząd

## Wiadomości literackie.

— Nakładem ruchliwej, zaszczytnie znanej i renomowanej *księgarni katolickiej dra Władysława Miłkowskiego w Krakowie* wyszło z druku drugie poprawne wydanie *najmniejszej książeczki do nabożeństwa* p. t. *„Książeczka miniaturowa“* przez O. S. B. Tow. Jez. Wydanie książeczki piękne, układ wzorowy, oprawy eleganckie i trwałe. Cena od 2 do 11½ kor. Zwracamy na to wydawnictwo baczną uwagę Szan. Publiczności, mianowicie młodzieży i płci pięknej. Książeczki nabyć można także w księgarniach poznańskich.

— **Alkohol a miłość** dra Karola Zaleskiego z Sanoka. Autor pod postacią skromnej, popularnej rozprawki chciał widocznie „przemycić“ bardzo wiele i przyznać trzeba, że mu się to znakomicie udało. W pierwszej części ma czytelnik ściśle określoną odpowiedź na pytanie, co to są napoje wyskokowe i jakie ich działanie na ustrój ludzki. Działanie to daje się streścić w dwóch słowach: zatrucie wyskokowe. Zatrucie zaś może być albo ostre (doraźne upicie się) albo przewlekłe (chroniczne) prowadzące przez szereg chorób i nieszczęść do najgorszych skutków a nawet do śmierci nieszczętnej, jak powszechnie wiadomo. W dziale tym niezmiernie interesujący — szczególnie dla warstw oświeconych społeczeństwa — jest ustęp podający wynik najnowszych badań naukowych na tem polu, które wykazują, jak często — częściej niżby to na pozór sądzić można — pod łudząco niewinną postacią zatrucie przewlekłe wyskokowe — nieraz długie lata, aż nagle znienacka w całej swej grozie — ujawnia się a nawet przedwczesnej śmierci staje się przyczyną. Części rozprawiającej o oddziaływaniu zatrucia wyskokowego na motor życia tj. na miłość (egoizm i altruizm) niepodobna w kilku słowach streścić; tak tam autor wszystko ze zobą w krótkich słowach powiązał, że trzeba ją samemu przeczytać. A czyta się część tę z wielką ciekawością i niemałym pożytkiem. Język dra Zalewskiego jest jędrny, a sposób przedstawienia rzeczy dobitny. Cena książeczki naznaczona: 25 fen. — 40 hal. — 15 kop. Dla życzących rozszerzyć pożyteczną tę rozprawkę zniżona cena jest za 100 okazów: 10 M. — 12 kor. — 5 rubli; przy większej ilości jeszcze taniej.

Znakomita książeczka ta wydaną została nakładem redakcji „Przewodnika Zdrowia“ (Czarnowski, Berlin, Karlstr. 32), atoli nabywać ją można także przez każdą księgarnię.

## Od Redakcyi.

*Panu Józefowi P. w Berlinie.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale nie mogliśmy zamieścić, gdyż otrzymaliśmy notatkę za późno już po wydrukowaniu numeru 17-go na dzień 26-go z. m.

*Panu St. Z. w Ostrowie* — Owszem, jeżeli bezinteresownie.

*Panu dr. Wł. M. w Krakowie.* — Dziękujemy najuprzejmiej. Tę sprawę rozważymy po zużyciu papieru już zakupionego.

*„Lutni“ w Srodzie.* — Otrzymaliśmy za późno — po wydrukowaniu numeru na dzień 26-go z. m., dlatego zamieścić nie mogliśmy.

*Panu W. J. w Poznaniu.* — Na razie jesteśmy wierszami formalnie zasypani. Może przyjdzie kolej i na wiersz Pana, ale nie tak prędko....

*Zarządowi głównemu „Jedności“ we Frysztacie.* — Na ten cel żadnych pieniędzy nie odebraliśmy.

*„Konstantemu Sępikowi“ w Poznaniu.* Nie są bez wartości, talent jest widoczny, ale nawał materyału nie pozwala nam na druk.

*Komitetowi przygotowawczemu Stowarzyszenia personalu żeńskiego w handlu i przemyśle.* — Notatka o zeszłoniedzielnem zebraniu doszła nas za późno po wydrukowaniu odnośnego numeru.

— ***Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

***Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“***

## Szanownych Czytelników *w Galicyi*

**i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spiesne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości**

***2 kor. 30 hal.***

**wprost do administracyi „Pracy“**, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

**tylko 1 kor. 47 hal.**



Kwity na „Pracę“ i „Czytelnią“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.



# Dział rolniczo-ekonomiczny.

## Bank ziemski.

Zebranie akcyonaryuszów odbyło się w lokalu banku dnia 21 kwietnia 1903 o godzinie 11 przed południem.

Protokół notaryalny prowadził p. mecenas Wojciech Trąpczyński.

Przewodniczył walnemu zebraniu p. dr. Witold Skarżyński w zastępstwie nieobecnego pana prezesa St. hr. Żółtowskiego, który dla poratowania zdrowia jeszcze bawi za granicą.

Porządek dzienny został załatwiony zwykłym trybem, przyczem zysk czysty wynoszący . . . . . M 162,525,29 podzielono w następujący sposób:

| | |
|---|---|
| 1) do funduszu rezerwowego zwyczajnego . | M. 8,126,26 |
| do funduszu rezerwowego nadzwyczajnego . . | M. 19,387 97 |
| 2) 4% dywidendy od wpłaconego kapitału akcyjnego pro rata . . . | M. 119,696,63 |
| 3) na tantyemy dla dyrekcyi, do funduszu emerytalnego i do zysków przyszłorocznych . . . | M. 15.314,43 |

Do rady nadzorczej wybrano jednogłośnie pana St. Morawskiego z Jurkowa na lat 5.

Na wniosek jednego z akcyonaryuszów warszawskich postanowiono, by w przyszłości utworzyć nowy rachunek „Delcredere“ i do niego wpisywać przedewszystkiem fundusze powstałe z kuponów przedawnionych.

Drugi wniosek jednego z akcyonaryuszów, wymieniony pod nr. 5 b. porządku dziennego, po dłuższej dyskusyi cofnięty został.

Natomiast przeszedł wniosek z łona walnego zebrania, aby rada nadzorcza osobną umową limitowała remuneracyę dyrekcyi w zakresie tantyemy, przewidzianej w § 14. lit. c. statutu.

Tem samem załatwiony był cały porządek dzienny i po odczytaniu protokółu przewodniczący zamknął zebranie o godzinie wpół do 2.

* * *

### Sprawozdanie i rachunki za r. 1902

od 1 stycznia do 31 grudnia.

Dwa fakta są znamienne dla interesów Banku ziemskiego w r. 1902:

1) uchwalenie przez nadzwyczajne walne zebranie w dniu 6 listopada nowej IV emisyi akcyi, jak poprzednie bezimiennych, po 1000 marek, celem podniesienia kapitału zakładowego z trzech na cztery miliony marek, które zapisano do rejestru handlowego w dniu 29 tegoż miesiąca;

2) uzupełnienie statutu postanowieniem kupowania nieruchomości ziemskich na własne imię.

Zasady i zadania Banku, jak dawniej, tak i nadal, pozostały niezmienione. Dążeniem naszem bezustannem było i jest tworzenie nowych osad włościańskich, któreby krajowi przysporzyły jak najwięcej sił obywatelskich, przyczem stale mamy na oku interes akcyonaryuszów. Obracamy się więc w zakresie interesów pewnych, rokujących odpowiedni zysk, obok zupełnego zabezpieczenia kapitału akcyonaryszów, co zawsze łączymy ze staraniem, by osadnikom naszym oddawać ziemię w warunkach jak najkorzystniejszych, w stosunkach uporządkowanych i w stanie zasobnym, któreby im umożliwiły trwałą egzystencyą i pomyślny rozwój.

Pomimo mnożących się przeszkód w zakładaniu nowych osad i pomimo niebywałej dotąd zwyżki cen ziemi, utrudniającej kupno i sprzedaż, czynności bankowe postępowały naprzód zwykłym krokiem i wykazały przy zamknięciu roku czystego zysku sumę 162 525,39 m. dającą możność rozdzielania dywidendy 4 proc. i wzmocnienia rezerw o sumę 27 514,23 m., tak iż ogółem nasze fundusze rezerwowe wynoszą obecnie 205 410,18 m.

Z początkiem roku mieliśmy 12 wdrożonych interesów parcelacyjnych w obszarze 6 196,61,19 Ha., z których 8 na ryzyko własne, 4 w komisie. Z tego obszaru było dnia 1 stycznia 1902 jeszcze nie sprzedanych 2 190,29,09 Ha., a przybyło wśród roku 5 nowych interesów z obszarem 1 429,88,89 Ha., — to 3 majątki rycerskie na rachunek własny, 2 gospodarstwa włościańskie w komisie, — tak iż ogółem mieliśmy do rozparcelowania 3 620,17,98 Ha. w 17 odrębnych pozycyach. Z tego obszaru rozsprzedano w ciągu roku 1902 Ha. 919,89,47 w 99 parcelach, tak iż na rok 1903 pozostał obszar 2 700,28 51 Ha. do rozsprzedania:

Podług akt naszych załatwienie korespondencyjne tych interesów, oraz regulacyi hipotecznych i publiczno-prawnych na osadach w rozsprzedanych poprzednio majątkach objęte jest w rejestrze dziennym 16086 numerami, a operacye pieniężne w tym s mym zakresie przedstawiają następujące:

Sumy obrotowe wynosiły marek 14 529 551,00.

Rachunek zysków i strat wynosił 218 847,07 marek.

Bilans z dnia 31 grudnia 1902 r. wynosił 7 175 995,18 m.

Radę nadzorczą składają: Stanisław hrabia Żółtowski z Niechanowa, prezes, Dr. Witołd Skarżyński ze Spławia, zastępca prezesa. Zygmunt Chłapowski z Turwi. Stanisław Morawski z Jurkowa. Dr. Zygmunt Celichowski z Kórnika.

Dyrekcyę: *Aleksander Chrzanowski. Dr. Teodor Kalkstein.* Zastępcy: *Zygmunt Rychłowski. Karol Szczaniecki.*



## Nowy pług.

Niezadługo rolnik nie będzie uprawiał ziemi w pocie czoła, ani zarabiał na chleb pracą rąk własnych. Zbliża się chwila, w której konie zupełnie z gospodarstwa usunięte zostaną i przestaniemy słyszeć: „wio“ i „wiśta,“ któremi oracz zachęca swe spocone szkapy. Wszystko to mamy zawdzięczać płgowi z motorem gazolinowym, wynalezionym przez pana Gatlinga. Za pomocą tego płgu jeden człowiek może wykonać robotę piętnastu par rąk i trzydziestu koni. Motor gazolinowy porusza pług pana Gatlinga i pozwala nim orać do głębokości dowolnej. Przyrząd cały zbudowany jest podobnie do innych maszyn pociągowych; tylko kocioł parowy zastąpiony jest motorem gazolinowym, połączonym całym systemem kół z mechanizmem ruchu. Do przyrządu przytwierdzony jest szereg tarczowych płgów, które mogą orać w dowolnej głębokości i pod dowolnym kątem, według potrzeby pola.

Obliczono, że za pomocą tej maszyny jeden człowiek może przeorać trzydzieści do czterdziestu akrów dziennie. Dla wykonania tej roboty zwykłym pługiem potrzebaby piętnastu ludzi i czterdziestu koni.

Gospodarz, używający płgu Gatlinga, nie zmęczy się nadmiernie. Wystarczy, aby siadł na wysłanym koziołku maszyny i uważał na przyrząd kontrolujący, podobny do tych, które używane są przy automobilach. Jeżeli wypadkiem jest chory, żona może go zastąpić. Przy użyciu pługa Gatlinga walcowanie staje się zbyteczne, gdyż sam dostatecznie ziemię spulchnia. Należy tylko przywiązać bronę do przyrządu z tyłu, a za nią siewnik. W ten sposób orka, bronowanie i siejba odbywają się za jednym zachodem i koszt uprawy zmniejsza się do jednej czwartej. O ile te wszystkie zalety pługu Gatlinga okażą się prawdziwemi w praktyce — przyszłość wykaże.



# Dodatek Humorystyczny.

## Z pieśni ludowych.

Wyje kruczek, wyje w budzie,
Zmiłujcie się dobrzy ludzie....
Tak mnie gnębi kobiecisko,
Że aż z żalu wyje psisko.

* * *

Nie poszyłeś strzechy Maciek,
Teraz pułap w izbie zaciekl!!
— Cieknie pułap, niech ta cieknie,
Może babsko mi ucieknie.
Żebym dożył tej uciechy,
To obdarłbym resztki strzechy.

* * *

Kaczka nie chce kruka,
Gęś wróbla nie szuka,
A czegóż ty Maćku, drabie,
Drepczesz wciąż przy starej babie.

* * *

Chłop pijany szedł z jarmarku,
Baba stłukła go po karku.
— Nie frasuj się, mój Ignacy
I u państwa nie inaczej.

* * *

Minęło babie lat kopa,
Poszła za młodego chłopa,
Ojże, biedny chłopie,
Wpadłeś jak szczygieł w konopie.



### Przewąchał.

Żona: O ty mnie już nie kochasz, Auguście, bo nawet nie zapytasz się mnie dlaczego ja płaczę!

Mąż: Droga żono, to pytanie mnie zwykle bardzo drogo kosztuje.



### *Co tu robić?*

Anna: Jestem w wielkiej kolizyi.

Mania: Jak to?

Anna: Karol mi przyrzekł, że przestanie pić, gdy wyjdę za niego, a Jan znowu klnie się, że zacznie pić, jeżeli nie wyjdę za niego. Co tu robić?



### Na balu.

— Jak pan mogłeś całą godzinę rozmawiać z tą śmieszną, starą babą, nie roześmiawszy się jej w oczy.

— Rzecz bardzo prosta, to moja — żona.



### Na wsi.

— Dlaczego ty tak kochasz tego Bartka?

A bo to ogniście silny chłop!

— A dlaczego nie lubisz Mateuszka?

— Bo to taki słaby niedojda.



### *Przyjaciółki.*

— Moja droga, czyś już podbiła serce Jasiowi?

— Serce nie, ale tymczasem oko...

## Z rozmów żydków poznańskich.

— Jojne, my mamy udawać Egipcjan w teater. Czy to trudne jest?

— Dlaczego ma być trudne? Jeżeli nasi bracia w Szwarzędzu mogą udawać Niemców, to dlaczego mybyśmy nie mogli udawać Egipcjan?

* * *

Słuchajcie, Mojsie, co to jest takiego te hieroglify?

— To jest takie pisanie, którego nikt nie rozumie.

— Już wiem. Hieroglify to jest co piszą w naszych gazetach o polityce, bo tego w całem mieście nikt nie rozumie.

* * *

— Symcha, jabym chciał bardzo zobaczyć tę słynną egipską rzekę Nil.

— Dlaczego?

— Bo ona podobno jest bardzo brudna i wylewa błoto na brzegi.

— To po co wy potrzebujecie aż do Egiptu jechać? Warta pod Poznaniem robi to samo.



## Z monologu stróża Walentego „o małżeństwie".

..Kiej nawet zdarzy się jako małżyństwo nie filtruje z jenszemi, to obełgują się dla świętej spokojności. Mąż syrca do żony nie czujący, kiej jeno może to z domu robi dymę do klubu na karty, a jak nie to do kolegi na winta, albo do knajpy, byle jeno nie siedzieć kiele żony. A jak mąż z domu wyńdzie to żonka ziewa, że jedna szczęka dosięga sufitu a druga podłogi i zaraz kapeluś na frezurę wetknie i do koleżanków na gęganie. Inszy mąż to po szyję w długach siedzi a żonie ślubnej rzec odważności niema, jeno ją obełguje jako mu jętereszy dobrze idą. Na różne zbytki papierki z pod ziemi pazurami wygrzebuje. A kiej przyńdzie taki casz, że ucho się u dzbana urwie i nikt już pożyczyć nie chce, to taki bojaźliwy mąż przychodzi i całuje żonę w gambę. Żona go się pyta: „kaj idzies?" on powiada: „Duchem powrócę, do miłygo widzynia!" I idzie se do Dębiny na śpacyr i tam się z lewerwera zastrzyli. To ci zrobił famielji łaskę! A kiejby małżyństwa żyły w otwartości, prawdomówności i szczerości, to nijakiego zbytkowania a potem zastrzylinia pewnikiem nie byłoby, jeno skromne życie i używanie tego co wolno na całygo do samej śmierci.



## Krakowiak utracyuszowski!

Mieszkał tu pan Florek
Herbu zwan „Dołęga",
Przepyszny miał dworek,
Lecz był niedołęga.
Trzy wioski posiadał
Z łąkami, lasami,
Lecz je wnet postradał,
Jeżdżąc kolasami.

W mieście często bywał,
W „tempelka" się bawił,
Tysiące przegrywał,
Aż i wsie zastawił,
Przyszedł Icek Kaduch,
Dziury pozałatał,
Lecz czosnkowy zaduch
Różne figle płatał.

Kolonizatorka
Konceptem ruszyła
I od pana Florka
Dziedzictwo nabyła.
Z wielkiego majątku,
Ma talarów dwieście,
W ubogim zakątku
Mieszka sobie w mieście.

Tutaj opuszczony,
Pije kornus prosty,
Nos zbyt ma czerwony,
A na twarzy chrosty.
*Delirium tremens*
W cielsko właził wszędzie,
A na święty Klemens
Florka już nie będzie.

*St. Z.*



## *Nowy zapał.*

Był raz złoty okres taki
Dla tych, którzy liczą biegle,
Że majątek człek wszelaki
Chciał na zwykłej robić *cegle*.

Potem przyszły inne czasy
I wiatr powiał z innej strony:
Człek nie jeden, na grosz łasy,
Chciał na *węglu* mieć miliony.

Jak to u nas we zwyczaju,
Wkrótce inny szał nas złapał:
Mają ludzie w całym kraju
Dziś do *torfu* wielki zapał.

Gdy o torfie rzekniesz słowo,
Wnet każdemu oko błyska;
Człek, co ziemię ma jałową,
Poszukuje torfowiska.

Akcji moc wypuszczać gotów
I cieszy się swoim planem,
Sądząc, że wnet bez kłopotów
Całą gębą będzie panem.

Ma szacunek produkt błotny
I tak wielce wlazł nam w głowę,
Że dziś każdy człek obrotny
Wciąż marzenia tka torfowe.

Gdy zawiedzie torf, co w modzie,
Zacznie ludek pośród brzasku
Wznosić zamki znów na *lodzie*
Lub pałace wielkie... z *piasku*.



### *Między kupcami.*

— Jeżeli chcesz pan być moim zięciem, to wykaż pan swoje książki.

— To pan wykaż, przecież nie ja daję posag, tylko pan.



# Dział powieściowy.





# MĘCZENNICA W KORONIE.

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

61) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Umiała ona pozyskać sobie względy hrabiego do tego stopnia, że podczas kiedy żona jego walczyła z śmiercią, on już z Melitą plany na przyszłość układał, i ledwie chora została pochowaną, stanął przed ołtarzem z cyganką, włóczęgą, nie mającą nawet uczciwego nazwiska. I tak została ona wszechwładną panią pałacu, przed którym niedawno leżała głodna i ledwie żywa.

Borys tymczasem uczył się doskonale i malował bardzo pięknie, a nauczyciele świetną mu, jako artyście, przepowiadali przyszłość. Malował on głównie portrety.

Chcąc się pozbyć syna, patrzącego na ojca z niemym wyrzutem, posłał go hrabia do gimnazyum do Petersburga, gdzie też i później został na uniwersytecie.

Mając lat ośmnaście otrzymał od ojca list wzywający go do szybkiego powrotu. Hrabia pisał, że czuje się słabym i chorym i pragnie jak najprędzej zobaczyć się z nim.

Tego samego dnia jeszcze wyjechał Borys do domu.

Ale jakże się przestraszył, gdy ujrzał ojca!

Z silnego, zdrowego mężczyzny zamienił się w tych kilku latach w zgrzybiałego starca, a twarz jego nosiła nietylko ślady choroby, ale i głębokiego smutku. Milczał jednak, gdy go syn pytał o powód tego przygnębienia i powiedział tyle tylko, że kłopoty pieniężne nie dręczą go, że dobra są wzorowo utrzymywane i że gospodarstwo dużo mu przynosi dochodu.

Borys nie pytał więcej. Domyślał on się, że Melita sama była przyczyną nieszczęścia ojca.

I domysły jego były słuszne.

Melita, dwudziestoletnia teraz, cudownie piękną była kobietą i panowała w całym pałacu, jak wszechwładna królowa.

Służba wyłącznie do niej zwracała się po rozkazy, o życzenia hrabiego nikt się nawet nie spytał.

Przez jej ręce przechodziły wszystkie pieniądze, ona miała kassę całą i odbierała i wypłacała, co się komu należało. Nawet zamiejscowe banki miały wyłącznie jej podpisy.

Kilka dni po powrocie Borysa, weszła raz Melita do jego pokoju właśnie wtenczas, gdy kończył portret córki pewnego generała w Petersburgu. Były tam jeszcze tylko drobnostki do wypełnienia, dlatego zabrał Borys portret ten z sobą na wieś.

Melita przypatrywała się przez chwilę jego robocie, potem westchnęła i rzekła:

— Kochasz tę dziewczynę?

— Nie, szanuję ją bardzo, — odrzekł Borys.

— Ah, myślałam, że ma szczęście posiadania twego serca! Jakim ty wielkim jesteś artystą! Przyrzeknij mi, że mnie także malować będziesz, ojciec twój życzy sobie już od dawna mego portretu, ale nie sprowadziłby tu za nic w świecie jakiego malarza, bo — — ach, ojciec twój strasznie jest zazdrosny! Na ciebie, — dodała z zalotnym uśmiechem, — nie będzie miał podejrzenia!

Borys chciał odmówić temu żądaniu, ale pragnąc zrobić ojcu przyjemność, zgodził się na wszystko.

Nazajutrz przyszła Melita w kostyumie cyganki, fantastycznym, nieco teatralnym, ale wyglądała cudownie.

Borys patrzał na nią zdumiony, olśniony, a ona uśmiechała się zalotnie i swemi czarnemi, ognistemi oczami rzucała płomienie w serce niewinnego, nieświadomego chłopaka.

— No i cóż, — zawołała, — nie mówisz nic? Nie podobam ci się? Ale zacznij malować. Wiesz, chciałabym, abyś uwiecznił na twoim obrazie najważniejszą chwilę mego życia, to jest, gdy tu przybyłam do pałacu na pół nieżywą!

Tego uczynić nie mogę, — rzekł Borys, — bo nie ma przytem tej osoby, która główną odegrała rolę — to jest mojej matki! Bez niej nie miałby obraz wartości!

— Zdaje mi się, — szepnęła rozgniewana, — że najgłówniejszą osobą jestem ja!

— Nie! Bo gdyby matka moja nie była się zlitowała nad tobą i wzięła cię pod swoją opiekę, to cóżby się było stało? Wybacz, że poruszam te wspomnienia, ale ty sama wywołałaś je!

Melita zacisnęła pięści, ale milczała. Potem usiadła na fotelu, przechyliła nieco na bok swoją śliczną główkę i rzekła z słodkim uśmiechem:

— Więc maluj mnie, jak chcesz!

Borys zabrał się do pracy, i malował z prawdziwym zapałem.

Melita była teraz łagodna, serdeczna, i nie obrażała go ani słowem, ani spojrzeniem. Po czterech dniach można już było poznać zarysy portretu i zewnętrzną jego formę, a stary hrabia, słabszy niż zwykle, okazywał żywe zajęcie się obrazem i chciał koniecznie widzieć, jak daleko praca postąpiła.

Borys zachwycał się teraz swoją przybraną matką! Swoboda jego znikła — niepokój ogarnął jego serce, chciał unikać Melity, a pomimo to szukał jej, i powiedział sobie sam, że jest na najlepszej drodze popełnienia haniebnej zdrady względem własnego ojca.

Nareszcie był portret skończony.

— Mieliśmy dziś ostatnie posiedzenie, — rzekł do Melity, nie mając odwagi spojrzenia na nią, — jutro wyjeżdżam!

— Czemu?

— Ojcu lepiej — —

— Nie prawda! On słabszy, niż kiedykolwiek! Ale w każdym razie dziękuje ci za mój portret! Poświęciłeś tyle czasu na tak niegodny przedmiot.....

— Przeciwnie! Nie wiem, czy twoja piękność wiernie odtworzona!

— Ach, to ty myślisz, że ja jestem piękna? — szepnęła, zbliżając się do niego.

Borys milczał.

Wtedy ona objęła swemi białemi ramionami jego głowę i przycisnęła ją do serca.

— Ach ty nierozsądny chłopcze, — mówiła, — czemu nie powiesz, że mnie kochasz? Tak dawno już czekam na to! Bo i ja kocham ciebie, od pierwszej chwili — —

Ale nagle umilkła.

Tuż za nimi rozległ się straszny krzyk — oboje obrócili się szybko i ujrzeli — hrabiego!

— Nędzniku! — krzyknął ojciec, idąc z podniesioną ręką do syna, — łotrze, czy nie wiesz, co czynisz? Zabiję cię, jak psa, a ją tę nikczemną kobietę wypędzę. — — Ja was oboje przekli — —

Zanim jednak zdołał dokończyć rozpoczętego zdania, upadł na ziemię i za chwilę nie żył. Atak paraliżu zakończył jego życie.

Teraz dopiero oprzytomniał Borys. Z jękiem rozpaczy odepchnął Melitę i rzucił się na kolana obok martwego ojca.

— Precz, — krzyknął, — uczyniłeś mnie mordercą mego ojca!

Melita cofnęła się nieco, ale oczy jej błyszczały dziką radością.

— Twój ojciec byłby i tak wkrótce umarł, — rzekła swobodnie, — wiem to od doktorów. A my jesteśmy młodzi i kochamy się! Będziesz szczęśliwym ze mną, kochaj mnie tylko, inaczej — jesteś żebrakiem! Bo cały majątek — wszystko, co posiadał twój ojciec, należy obecnie do mnie! Testament jest dawno już zrobiony i nienaruszalny! Ale ja z tobą podzielę się chętnie, bylebyś został tutaj....

— Milcz, przeklęta cyganko, — krzyknął Borys, — wolałbym umrzeć z głodu, niż przyjąć od ciebie kawałek chleba!

Melita roześmiała się i wybiegła z pokoju.

— Po pogrzebie ojca, — kończył Borys swoje opowiadanie, — zabrałem tylko to, co było moją osobistą własnością, i wyjechałem do Petersburga. Znajomi radzili mi, abym wytoczył proces cygance o bezprawne przywłaszczenie sobie majątku, ale testament ojca był tak ułożony, że nie można go było ruszyć.

Przeniosłem się potem do Moskwy i tu żyję, jak pani widzisz, prawie w nędzy. Obrazów moich nikt nie kupuje, pieniędzy nie mam, i skończę pewnie na tem, że albo umrę z głodu, albo odbiorę sobie życie.....

— A co się stało z Melitą? — zapytała Felicya. — Czy wyszła po raz drugi za mąż?

— Nie. Mieszka do dziś jeszcze w naszym pałacu, i słyszałem nawet, że usunęła się zupełnie od świata. Ale nie mówmy już o niej, wspomnienie tej kobiety jest mi okropne! A teraz wracam do mej prośby. Chciałabyś mi pani pozować? Mam w myśli postać idealną, którą chciałbym nazwać „Pieśnią ludową,“ i do tej postaci pragnąłbym twarzy pani. Zdaje mi się, że stworzyłbym arcydzieło!

Felicya byłaby się chętnie zgodziła na jego prośbę, ale nie mogła. Wszakże ona odgrywała komedyą, chcąc zostać usuniętą ze świata — a teraz miałaby się dać malować, aby obraz jej wywołał może wspomnienie w sercach tych, dla których pragnęła przestać istnieć?

— Żałuję bardzo, — rzekła uprzejmie, — że prośbie pana muszę odmówić!

— O Boże, a ja tak liczyłem na to!

— Może będę mogła panu jednak w inny sposób dopomódz! Niedługo otrzymam znaczną sumę pieniędzy, którą nie wolno mi wprawdzie dysponować, ale z której wolno mi wziąść tyle, ile potrzeba na zapłacenie pewnej przysługi. Zechcesz mi pan wyświadczyć tę małą przysługę?

— Bardzo chętnie, jeżeli będzie się zgadzać z mojem sumieniem!

— O, o nic złego pana nie poproszę, — rzekła Felicya z dziwnym uśmiechem — przeciwnie, wyświadczysz dobrodziejstwo pewnej nieszczęśliwej....

Borys wstał i pożegnał Felicyą.

— Będę pani posłusznym, — zawołał, — i gdybyś kiedykolwiek potrzebowała przyjaciela, to pamiętaj o mnie!

Na tem skończyła się pierwsza rozmowa sąsiadów.

ROZDZIAŁ XCIII.

## Mimowolny zdrajca.

Od tego dnia minęły dwa tygodnie.

Felicya i Borys widywali się tylko w oknie i niemy ukłon był całkiem ich pozdrowieniem. Borys sądził, że Felicya zupełnie już o nim zapomniała, tem więcej, że teraz częściej widział w jej pokoju mężczyzn, których nie trudno było poznać, jako nihilistów.

Te niebezpieczne wizyty powtarzały się bardzo często.

Borys chciał iść do niej i przestrzedz ją. Czy pragnęła umyślnie zwrócić na siebie uwagę policyi, czy nie wiedziała, że tu za byle jakie przewinienie polityczne szło się na Sybir?

Ale jakie on miał prawo do mieszania się w jej sprawy? Żadnego.

Musiał więc milczeć!

I tak patrzał z bólem serca na te codzienne schadzki w jej mieszkaniu, a pewnej nocy uczynił jeszcze jedno ważniejsze odkrycie!

Było to około jedenastej, w podwórzu, na które wychodziły okna pokoji Borysa i Felicyi, głęboka panowała ciemność. U Felicyi było znowu zgromadzenie nihilistów — na spuszczonych rolosach rysowały się wyraźnie sylwetki rozmaitych męzkich głów. Borys czuł się dziś niespokojnym, i nie mogąc usnąć, wstał, i usiadł przy oknie. Co się tam u Felicyi dziś musiało dziać? Zapewne układano jakieś okropne plany, inaczej nie otaczanoby się taką tajemnicą!

Nagle dał się słyszeć przerażający huk — zdawało się, że cały dom zadrżał aż we fundamentach.

W pokoju Felicyi wypadły szyby z okna, a przez otwór ten dobywała się z sykiem biała, gęsta para.

Dynamit!

Słowo to ma w Rosyi straszny dźwięk!

Borys domyślił się prawdy. W mieszkaniu Felicyi fabrykowano ten okropny, morderczy materyał, a kogo on miał zabić — ach, na to pytanie łatwa była odpowiedź.

Przez nieostrożność czyjąś musiał powstać mały wybuch, może pękła jaka retorta — w każdym razie nie stało się żadne nieszczęście. Najgorsze tylko, że nieumyślna ta eksplozya zdradziła przedwcześnie mieszkańcom domu fabrykowanie bomb dynamitowych.

Na podwórzu powstał hałas i zamieszanie, i wszystkich oczy podniosły się na czwarte piętro.

Gospodarz domu, człowiek stary i otyły wybiegł przed sień, ale nie chcąc wchodzić na tyle schodów, krzyknął z dołu.

— Co się tam stało? Jakiś podejrzliwy wybuch! Ja nie ścierpię nihilistów w moim domu, nie chcę, aby mi tu rzucali bomby, i wybijali okna!

— Trzeba posłać po żandarmów! — odezwał się inny jakiś głos.

— Człowiek nie pewien życia!

— Po policyą!

Teraz postanowił Borys ratować Felicyą.

Otworzywszy okno, wychylił się, i krzyknął z całej siły:

— Mylicie się państwo! To nie była bomba dynamitowa! Przyznaję się do winy. — Nie jestem, jak wiecie nihilistą, ale postawiłem butelkę z ostrym płynem, potrzebnym do malowania, za blizko pieca, i eksplozya nastąpiła! Przepraszam państwa za nieuwagę, i przyrzekam, że się to nigdy nie powtórzy!

Mieszkańcy domu uspokojeni, wrócili do swych pokoji. Znali oni wszyscy Borysa i wiedzieli, że z nihilistami żadnej nie ma styczności.

Tym razem zdołał więc Borys odwrócić niebezpieczeństwo od Felicyi, ale czy policya nie wyśledzi wnet jej działalności?

Nazajutrz ujrzał ją w oknie. Ukłonił się, i miał nadzieję, że usłyszy może jedno słowo podziękowania, ale Felicya patrzała na niego z wyrazem takiego gniewu i niechęci, że Borys zdumiał.

Co to miało znaczyć? Czy ona chciała koniecznie zgubić się sama?

Dwa dni później, zapukano do drzwi, i Felicya stanęła na progu

— Pani u mnie? — zawołał Borys.

— Przyszłam po pana! Idźmy do mego pokoju! — brzmiała krótka odpowiedź.

Na stoliku przy oknie stało mnóstwo butelek i słojków. — Borys wiedział, do czego były potrzebne, ale jakże się przeraził, gdy spojrzał na ścianę nad kanapą! Wisiał tam obraz cara, w miejscu zaś, gdzie znajdowało się serce, tkwił mały sztylet!

Była to nieostrożność, granicząca nieomal z obłędem!

— Dziwisz się pan? rzekła Felicya, wskazując na obraz. — Nie wiedziałeś, że jestem nihilistką?

— Nie wymawiaj pani tego słowa, na Boga! — zawołał Borys. — Wiem, że jestes nihilistką, ale pani nie wiesz, co czynisz! Nie znasz całej doniosłości twego postępowania! Wciągnięto cię do tego stowarzyszenia, bo jesteś piękną, i możesz im służyć, ale gubisz się sama! Ach pani nie wiesz, jakie niebezpieczeństwo ci grozi! Nihilistów posyłają bez wszystkiego na Sybir, wiesz pani, co to znaczy?

— Jest że to prawdą, -- rzekła Felicya, nie zważając wcale na jego słowa, — że od dwóch lat mniejwięcej istnieje przepis, że kto wyda niebezpiecznego nihilistę w ręce policyi otrzyma nagrodę dziesięciu tysięcy rubli?

— Tak, niestety! Sprowadziło to już wiele nieszczęścia na nasz kraj, bo jest dosyć nędzników, którzy oskarżają niewinnych o nihilizm, byleby otrzymać te pieniądze!

— Oskarżyć niewinnego, to podłość, ale wydać winnego w ręce policyi — to może być czasem nawet bardzo dla ogółu użyteczne, a nawet konieczne.

— To pani mówisz?

— Tak, ja! I powiem jeszcze więcej! Pan jesteś artystą, powinieneś jechać do Włoch i studyować tam mistrzów.....

— Ach, o tem ani myśleć nie mogę, — przerwał Borys, zdumiony tym niespodziewanym zwrotem. — Nie mam tutaj z czego żyć, a cóż dopiero tam!

— A jednak pojedziesz pan do Włoch, i to za kilka dni! Za kilka dni będziesz miał dziesięć tysięcy rubli, bo dziś w nocy jeszcze pójdziesz na policyą i powiesz, że wskażesz jednę z najniebezpieczniejszych nihilistek.

— Pani!

— Słuchaj mnie do końca. Tą nihilistką jestem ja. Otrzymasz nawet podwójną nagrodę, bo ja jestem córką tego, którego słusznie zowią ojcem nihilizmu. Powiedz na policyi, że wydasz w jej ręce córkę hrabiego Beli Szalenburga!

Borys zerwał się jak szalony.

— Panno Felicyo! — zawołał w najwyższem oburzeniu, — czy uważasz mnie za nikczemnika? Zdaje mi się, że nie zasłużyłem sobie na coś podobnego!

— Nie, ja uważam pana za najlepszego i najszlachetniejszego człowieka, i dlatego właśnie udałam się do pana z tą moją prośbą! Jeżeli pan tego nie uczynisz, to daję ci słowo, że ja sama zadenuncyuję siebie! Ja chcę iść na Sybir! Jest to jedyne miejsce, gdzie mnie nikt nie znajdzie! Będzie to dla mnie prawdziwem dobrodziejstwem!

— Więc jedź pani tam sama!

— A z czegoż będę żyć? Bo ja nie mam pieniędzy — kilkaset franków, które miałam, kończą się — —

— Ale ja nie mogę tego uczynić! — biadał Borys.

— Ach, pan nie wiesz, jak mi na tem zależy! Czy prosiłabym cię o to, jak o największą łaskę?

— Pani nie znasz Sybiru!

— Nie może tam być gorzej, niż w tych piekłach, w których już byłam! Daj mi pan słowo, że pójdziesz zaraz na policyą! Daj mi pan słowo! Błagam cię o to!!

I Borys uległ jej prośbom!

Kilka minut później szedł do gmachu policyjnego, smutny i przygnębiony.

— Nie pojmuję, co to wszystko znaczy, — mówił sobie w duszy. — Stałem się zdrajcą — ależ ona chce tego! Bądź co bądź — ta kobieta jest czystą jak anioł, i to, co czyni musi być dobrem!

### ROZDZIAŁ XCIV.

### W celu życzeń.

Na żądanie Borysa odprowadzono go natychmiast do prezydenta policyi.

— Z czem pan przychodzisz o tej porze? — zapytał krótko prezydent.

— Chcę panu wskazać najniebezpieczniejszą nihilistkę, jaka się w Rosyi znajduje.

— Można ją zaraz aresztować?

— Tak jest, każdej chwili!

— W takim razie otrzymasz pan dziesięć tysięcy rubli!

— O nie, otrzymam więcej, — rzekł Borys drżącym głosem, przeklinając w duszy siebie i świat cały.

— Jakto?

— Chodzi tu o córkę Beli Szalenburga!

— Nie może być! — krzyknął prezydent. — Jeżeli pan mówisz prawdę, to każę ci dwadzieścia tysięcy wypłacić!

— Wybierz pan stósowną ilość policyantów — ja ich zaprowadzę wprost do jej mieszkania.

— Ja sam pójdę! Ale jakim sposobem wyśledziłeś ją pan? Nie uwierzysz wcale, jaką przysługę wyświadczysz tem rządowi. Obyśmy ją tylko już mieli!

Borys milczał.

Rozkazy szybko zostały wydane i po niespełna dziesięciu minutach szedł sam prezydent i czterech żandarmów do mieszkania Felicyi.

Borys miał łzy w oczach.

— Biedna Felicyo, — myślał — ty nie wiesz, co cię czeka! Ale sama chciałaś tego, twoje najgorętsze życzenie spełni się, niestety, wkrótce.

— Czy ona stawi nam opór? — spytał prezydent, gdy wchodzili na schody.

— Wątpię. Gdy ujrzy, że nie ma nadziei ratowania się ucieczką, podda się spokojnie....

— Zostańcie tu, rzekł prezydent do żandarmów, ja sam do niej wejdę pod jakimkolwiek bądź pozorem. Bo z tymi nihilistami nie można nigdy być dosyć ostrożnym!

Mówiąc to, zapukał do drzwi.

— Proszę, — dał się słyszeć głos Felicyi. — Czy to wy Iwanie?

— Otwórz pani, — odrzekł prezydent, — przynoszę ci ważne wiadomości.

Felicya otworzyła i — prezydent wszedł do pokoju.

Piękność Felicyi zdziwiła go niezmiernie. Takiej nihilistki nigdy jeszcze nie widział!

I żal mu było tej młodej kobiety, ale obowiązek przedewszystkiem!

Szybkim ruchem wyjął rewolwer z kieszeni, i celując ku Felicyi, krzyknął szorstko:

— Nie ruszać się, bo strzelę! Jesteś pani aresztowaną!

Felicya udała wielkie przerażenie i cofnęła się żywo.

— Jestem zdradzoną i zgubioną, — jękła. — Nie ma dla mnie ratunku! Borys Gordon mnie zdradził!

Ale oczy jej spoczęły z wyrazem serdecznej wdzięczności na bladej twarzy Borysa, który teraz z żandarmami wszedł również do pokoju.

Prezydent skinął na żandarmów.

— Włożyć jej kajdany — rozkazał.

Teraz przeszukiwał jeszcze wszystkie kąty, ale nie znalazł nic takiego, co by mu mogło wskazać innych nihilistów! Felicya sama natomiast była aż nadto skompromitowaną. Przyrządy do fabrykowania bomb, obraz cara z sztyletem, a mianowicie liczne broszury nihilistyczne i dzieła jej ojca, wszystko to świadczyło przeciwko niej, i nikt w świecie nie byłby uwierzył jej niewinności.

— To pani jesteś córką tego — tego nihilisty? — zapytał prezydent.

— Tak, i ja jestem dumną z takiego ojca!

To też nie dziw się, że będziesz dzielić jego losy! Wiesz zapewne że on pracuje w kopalniach Sybiru!

— Wiem, że okrucieństwo rosyjskie tam go posłało!

— No, no, nie pozwalaj pani sobie krytykować rządu! Za kilka dni zresztą będziesz na drodze do ojca!

— Dałby Bóg! — szepnęła Felicya.

— Zdaje mi się, — rzekł prezydent, — że ona nie jest przy zdrowych zmysłach. A teraz do więzienia z nią!

Gdy Felicya miała wychodzić z pokoju, zwróciła się jeszcze raz do Borysa.

— Wiem, że panu mam do zawdzięczenia moje aresztowanie, — rzekła spokojnie, — i nigdy ci tego nie zapomnę!

— Szalona! Jeszcze czegoś podobnego nie widziałem, — zawołał prezydent.

Felicyą wyprowadzono.

Na schodach i na podwórzu zgromadziło się mnóstwo ludzi, a wszyscy przeklinali nihilistkę.

— Wstyd dla mego domu, — krzyczał gospoparz, — że taka kobieta tu mieszkała. Przyjechała bez paszportu! Okłamała mnie! Jestem zgubiony!

— Nihilistka! Zbrodniarka!

— Udawała świętą!

Była to pierwsza próba, którą Felicya znieść musiała. Co się w duszy jej działo, tego nikt opisać nie zdoła!

W więzieniu zamknięto ją w ciemnej i nizkiej celi, stara dozórczyni wskazała jej brudny tapczan, i Felicya posłuszna, położyła się natychmiast.

Zachowywała się w ogóle tak spokojnie, że nikt się wydziwić nie mógł — z wszystkiego była zadowolona, dziękowała uprzejmie za najdrobniejszą przysługę i nie uskarżała się na nic.

Dwa dni później przyszedł Borys do prezydenta po należne mu pieniądze.

— Dwadzieścia tysięcy rubli, — rzekł wszechwładny urzędnik, podając mu banknoty, — zarobiłeś je rzetelnie! Wydajesz mi się w ogóle dzielnym człowiekiem. Czem jesteś właściwie?

— Malarzem!

— Ba to nie popłaca! Rzuć sztukę, a zajmij się czemś lepszem! Zostań u nas agentem policyjnym!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



# POD PRUSKIM ZABOREM.

*Napisał RENÉ BAZIN.*

7) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Ale Alzatczycy mieli więcej szczerości; widzieli Jana w fabryce, widzieli go ciągle razem z ojcem — to wystarczało, aby i na niego padł sąd nieprzychylny. Czuł, że go otacza atmosfera tej pogardy ostrożnej, którą maluczcy potrafią okazać potężnym sąsiadom. Kiedy przechodził przez Alsheim, rolnicy, robotnicy, kobiety, dzieci nawet, wszyscy udawali, że go nie widzą; inni kryli się po domach; niektórzy, parobcy szczególniej, patrzyli na niego, jakby na cudzoziemca. Tylko dostawcy domu Oberlé, jego urzędnicy lub ich krewni odnosili się z szacunkiem do Jana. A młodemu człowiekowi ciężko było żyć z tą raną, krwawiącą się ponownie, ile razy wyszedł z parku.

W niedzielę, w kościele, stojąc w nawie wapnem bielonej, Jan oczekiwał nadejścia Otylii Bastian. Młoda dziewczyna, aby dostać się do ławki, w której już od wielu lat rodzina jej zasiadała, musiała przejść około Jana. Mijała go w towarzystwie ojca i matki, ale zdawało się, że dla tej trójki nie istnieje ani Jan, ani pani Oberlé, ani Lucynka. Uśmiechała się wprawdzie Otylia po skończonem nabożeństwie, kiedy szła aleją wśród twarzy przyjaznych mężczyzn i kobiet, dorosłych starców, wyrostków, którzy daliby się za nią posiekać; uśmiechała się do dzieci z chóru „Concordia,“ a te pędem wybiegały z zakrystyi, by pokłonić się córce pana Bastiana, powitać radośnie swoją Alzatkę, przyjaciółkę kochaną przez wszystkich biedaków z Alsheimu. Nie dawała im wprawdzie więcej pieniędzy od pani Oberle, ale w jej domu nie było rozdwojenia, ani zdrady; bogactwem jedynie różnił się od innych domów z gór i dolin alzackich.

Co myślała o Janie? Te oczy, które nigdy daremnie nie mówiły, odwracały się od niego. Te usta, które przemawiały do niego podczas dawnych spotkań, teraz milczały.

Tak upłynął pierwszy miesiąc pobytu Jana w Alsheimie.

Nastała wiosna. Pan Józef Oberlé, po dwóch dniach oczekiwania, widząc pękające pączki na brzozach, rzekł do Jana:

— Jesteś już tak biegły w naszym fachu, że możesz sam zwiedzić nasze działy w Wogezach. W tym roku porobiłem wyjątkowo liczne zakupy; niektóre z nich znajdują się aż w pobliżu Szluchtu. Zwiedzając je, obejdziesz jednocześnie całe Wogezy. Dobrze na wszystko zważaj — oto jedyna instrukcya, jaką ci daję; potem złożysz mi raport, w którym zanotujesz wszystkie swoje uwagi o każdym naszym wyrębie.

— Kiedy wyruszę?

— Jutro, jeśli chcesz. Zima już minęła.

Pan Oberlé mówił z pewnością człowieka, który, jak chłop, na czasie znać się musi i znajomość tę posiada. Przedtem już kazał sporządzić spis wyrębów leśnych, zakupionych bądź to w lasach rządowych, gminnych, bądź też od osób prywatnych i podać szczegóły dokładne, gdzie się te wyręby znajdują. Spis oddał Janowi. Działów było dwanaście, rozrzuconych wzdłuż całego pasma Wogezów, zaczynając na północ od doliny de la Bruche aż do Schluchtu.

Nazajutrz Jan włożył do torby trochę bielizny, parę butów i nie zwierzając się nikomu ze swych zamiarów, puścili się szybko w góry ku Heidenbruchowi.

Dom czworoboczny, z zielonemi okiennicami i łąka na cały las wokoło dymiły, jak gdyby pożar niszczył wrzosy i trawy, oszczędzając jedynie jodły i buki. Z ziemi zdawały się unosić długie wstęgi oparów; rozciągały się, toczyły i ginęły wreszcie w uścisku obłoku, płynącym z dolin; obłok pełzał po zboczach, ku niewidzialnemu ztąd klasztorowi świętej Otylii. Wilgoć przenikała serca zarośli, rozpościerała się wszędzie, krople wody perliły się na igłach jodłowych, spiralnie spływały po gładkich pniach buków, rosiły kamyki, przesycały mchy i tocząc się po ziemi lub zeschłych liściach, wzbogacały potoki; zewsząd dochodził szum płynącej wody, nieustanny, jak głos zimowego świerszcza.

Jan zbliżył się do palisady z desek na zielono pomalowanych, które otaczały posiadłość Heidenbruchu minął baryerę i wesołym okrzykiem powitał fasadę domu, okna z powodu mgły zamknięte:

— Wuju Ulrychu!

Za szybą ukazał się codzienny czepek Alzatki, która tylko w święta zastępuje go czarną kokardą; z pod czepka uśmiechała się przyjaźnie twarz stara i pomarszczona.

— Lizo, powiedz wujowi, że tu jestem!

Teraz otwarło się ostatnie okno po lewej stronie domu ukazała się w nim subtelna twarz, sokole oczy i ostra broda pana Ulrycha Biehlera w obramowaniu zielonych okiennic, na białym murze rozpostartych.

— Wuju, muszę obejrzeć dwanaście działów leśnych; dzisiaj zaczynam wędrówkę i przyszedłem prosić cię, abyś zechciał nam towarzyszyć dziś, jutro, aż do końca...

— Dwanaście wyrębów — odpowiedział pan Ulrych, opierając założone ręce na brzegu futeryny. — No, no! dobry koniec postu. Powinszować domowi Oberlé.

Przyglądał się swemu siostrzeńcowi, jego męzkiej, dzielnej twarzy, która się ku niemu z mgły wychylała i marzył, że widzi w nim oficera armii francuzkiej, którego typ Jana istotnie przypominał.

Opanowany wyobraźnią, zapomniał odpowiedzieć na prośbę tak wczesnego gościa.

— Wuju — odezwał się Jan — chodź ze mną! Nie odmawiaj mi! Sypiać będziemy w oberżach; pokażesz mi Alzacyę!

— Mój drogi, wczoraj siedem mil uszedłem.

— A dziś mamy tylko sześć przed sobą.

— Tak ci bardzo o mnie chodzi?

— Wuju, trzy lata spędziłem na obczyźnie; tylu rzeczy nauczyć się tu muszę!

— Ha! Nie odmówię ci. Pomyślałeś o mnie i tem mnie szczerze uradowałeś. Mam jeszcze inny powód, z racyi którego zgadzam się na tę podróż, i dziękuję ci za nią. Zaraz ci powiem, o co mi chodzi.

Zamknął okno.

Jan wśród ciszy nocnej posłyszał wołanie wuja, który wzywał starego służącego, drugiego pana na Heidenbruchu:

— Piotrze! Piotrze!... Słuchaj-no, wyruszymy w góry na całych dwanaście dni i ty pójdziesz z nami. Spakuj moją walizkę, zarzucisz ją na plecy razem z torbą Jana, weźmiesz grube buty, kij i ruszysz przed nami aż do pierwszego popasu, ja pójdę z Janem oglądać wyręby... A pamiętaj o płaszczu gumowym i apteczce podręcznej.

Jan wszedł do domu, a wuj Ulrych, uradowany i przejęty wyprawą, wbiegł do salonu, zdjął ze ściany jakiś przedmiot metalowy na dwóch gwoździach zawieszony, poczem szybko wszedł na schody.

— Co zabierasz z sobą, wuju?

— Lunetę.

— Taką starą.

— Mój kochany, droga to dla mnie pamiątka; ta luneta należała do mojego dziada, jenerała Biehlera, i widziała porażkę Prusaków pod Jeną!

W pół godziny potem pan Ulrych dom swój opuszczał; miał, jak jego siostrzeniec, skórzane na nogach kamasze, na głowie miękki, filcowy kapelusz, lunetę przewieszoną przez plecy. Wierny harcował koło niego.

Stary Piotr poważny, prawie majestatyczny, niósł na plecach toboł, płótnem owinięty i przytrzymywany rzemieniami; wreszcie Jan Oberlé, wpatrzony w mapę wojskową, którą tamci dwaj znali doskonale, układał z nim plany wędrówki — jeden dla Piotra, drugi dla siebie i wuja Ulrycha. Krótko to trwało.

Służący wyprzedził panów, kierując ku wiosce na lewo, w której nocować dziś mieli; wuj i siostrzeniec podążyli w pół zbocza, w stronę północno-zachodnią.

— Daleko iść mamy, ale tem lepiej — mówił pan Ulrych, gdy weszli w cień lasu. — Chciałbym całe życie tak spędzić. Wędrówka po lesie z człowiekiem swoim, tak blizkim — to marzenie.

I przymknął oczy, jak gdyby był malarzem, wdychając z rozkoszą wilgotne powietrze.

— Czy wiesz, Janie? — dodał po chwili tonem człowieka, który zwierza się z jakiejś pomyślnej dla siebie rzeczy. — Czy wiesz, że już od trzech dni czuć zapach wiosny w powietrzu. To był ten mój drugi powód.

Miłośnik lasów powtórzył z zapałem słowa, obojętnie wypowiedziane przez przemysłowca. Nadejście nowej pory poznał po tych samych znakach. Końcem laski pokazywał Janowi pąki jodeł, czerwone, jak dojrzałe jagody mącznicy, pękającą korę na bukach, źdźbła poziomek dzikich, zieleniejących koło kamieni. Zimny wiatr dął jeszcze po odkrytych miejscach, lecz w dolinach, załamach i zagłębieniach górskich, w miejscach osłoniętych, pomimo mgły, słońce już grzało tem ciepłem, które wywołuje dreszcz w sercu ludzkiem, a roślinom kiełkować każe.

Dzień ten i dni następne wuj z siostrzeńcem spędzili w lesie. Panowało między nimi doskonałe porozumienie tak w milczeniu, jak i rozmowach o najróżnorodniejszych kwestyach.

Pan Ulrych lasy i góry znał na wylot. Używał teraz przyjemności opisywania Wogezów, a jednocześnie poznawał bliżej swego siostrzeńca.

Gorąca młodość Jana bawiła go często i przypominała minione czasy. Instynkty leśnika i myśliwego, drzemiące w sercu młodego człowieka, obudziły się i ośmieliły. Ale obudziły się także gniewy, bunty, słowa groźby, przeciwko którym pan Ulrych słabo oponował, bo zgadzał się w głębi duszy.

Skarga Alzacyi po raz pierwszy dobiegła do młodego słuchu, ta skarga, której cudzoziemiec nie dosłyszy, a zwycięzca słyszy ją źle i nic jej nie rozumie.

Ale Jan nietylko las obserwował, patrzył też na ludzi, na kupców i urzędników, panów wszechwładnych mnóstwa ludzi, na drwali, wyrobników, węglarzy, wędrownych kramarzy, na owczarzy i świniopasów, na tych, co tylko suche drzewo zbierali i na przemytników, rabusiów leśnych, na kobiety zbierające czarne jagody, grzyby, poziomki i maliny.

Nieufności nie wzbudził, bo towarzyszył panu Ulrychowi Biehlerowi. Swobodnie rozmawiał z biedotą; w ich słowach, w ich milczeniu, w atmosferze, w której dzień i noc przebywał, odkrywał duszę własnej rasy i nią się napawał. Wielu z tych ludzi, szczególniej młodzi, nie znało wcale Francyi i nie umiało nawet zdać sobie sprawy, czy ją kochają. A jednak w ich żyłach wyraźnie płynęła krew francuska. Z Niemcami nie rozumieli się wcale. Jeden ruch, aluzya, spojrzenie, wykazywały głębokie lekceważenie chłopa alzackiego dla zwycięzcy. Myśl o jarzmie żyła wszędzie i wszędzie istniała antypatya. Inni synowie rodzin, więcej o tradycye dbałych, znając przeszłość, wierni, choć bez określonej nadziei, uskarżali się na wyzysk, na ucisk gnębiący ubogich górali i mieszkańców nizin, posądzonych o żal za przeszłością. Opowiadali też, jakie oni wzamian sztuki i psoty płatają straży granicznej, żandarmom, strażnikom leśnym, dumnym z zielonego ubioru i tyrolskiego kapelusza; opowiadali o przebiegach przemytników i dezerterów, o „Marsyliance," śpiewanej w karczmach przy drzwiach szczelnie zamkniętych i o świętach, spędzanych na francuskiej ziemi, o rewizyach, pościgach i wreszcie o tych zapasach tragikomicznych siły wielkiego narodu z duchem maleńkiego. Ten maleńki naród w cierpieniu zwracał się z przyzwyczajenia, z miłości odziedziczonej po przodkach, w stronę Francyi.

Pan Ulrych był jednak najbardziej uradowany, kiedy potrafił rozgadać starych ludzi. Jeżeli zobaczył na drodze, w jakiej wiosce człowieka lat pięćdziesięciu lub więcej i poznawał Alzatczyka, bywał zwykle sam poznany, a uśmiech tajemniczy poprzedzał zwykle powitanie właściciela Heidenbruchu: „Przyjaciel, widzę, swojak, na naszej ziemi wyrosły?" A jeśli po wyrazie twarzy, po ruchu powiek, po pewnej obawie w spojrzeniu poznał trafność swego sądu, dodawał półgłosem:

— Przyjacielu, na żołnierza francuskiego wyglądasz!

Wtedy często jaśniały uśmiechy lub łzy, coś wstrząsało sercem, ludzie bledli, rozumieli się, ten i ów fajkę z ust wyjmował i najczęściej dłoń, wzniesiona do kapelusza, składała ukłon żołnierski i trwała w nim, dopóki widać było na drodze dwóch wędrowców.

— Widzisz go? — pytał cicho Jana pan Ulrych. — Temu tylko trąbkę daj w rękę, a zagra ci wojskowego marsza Francyi.

— Francya!

Jan Oberlé wciąż o niej mówił, a kiedy stawali na jakim szczycie, pytał:

— Czy daleko ztąd do granicy?

Chciał wiedzieć, czem była Alzacya za czasów „błogiego panowania." Pytał: Jakie były swobody? Jak rządziły się miasta? Jaka różnica zachodziła między żandarmami francuskimi, których wuj wspominał z uśmiechem przyjaznym, jako ludzi dobrych, niezbyt twardych dla biedoty, a żandarmami niemieckimi.
Jak nazywał się ten prefekt z czasów pierwszego cesarstwa, który w całej Dolnej Alzacyi kazał poustawiać przy drogach ławki kamienne o dwóch kondygnacyach, aby kobiety, wracając z targu mogły odpocząć i złożyć na nich swój ciężar?

— Margrabia de Lezay-Marnésia.

— Wuju, powiedz nieco o naszych malarzach, o naszych deputowanych, biskupach. Powiedz, jak wyglądał Strassburg za czasów twojej młodości? A jak to było, kiedy muzyka wojskowa grywała na Contados?

Pan Ulrych z rozkoszą mówił o dawnem życiu i zdawał się odżywać przy tych wspomnieniach. Przebiegając pasma Wogezów, opowiadał historyę Alzacyi. Puszczał wodze gorącemu sercu. I bywało, że płakał i śpiewał też z wesołością dziecka piosnki Nadard'a, Beranger'a, „Marsyliankę," lub stare kolendy, które rozbrzmiewały w ostrolukach leśnych.

Jan tak namiętnie przejmował się obrazami wywołanej przeszłości, tak łatwo, naturalnie, podzielał antypatye i oburzenie czasów teraźniejszych, że stary Alzatczyk, z początku uradowany temi objawami, jako oznaką dobrej rasy, zaczął się niepokoić.

Pewnego wieczora złożyli jałmużnę dawnej nauczycielce języka francuskiego, teraz pozbawionej prawa wykładania tego języka, co ją doprowadziło do nędzy, bo była zbyt starą, aby otrzymać dyplom niemiecki.

Jan uniósł się gniewem.

— Mój drogi — odpowiedział wuj — nie idźmy zbyt daleko. Ty masz żyć z Niemcami.

Odtąd pan Ulrych unikał rozpraw na temat aneksyi. Ale, niestety, cała Alzacya, jakiś krajobraz, szyld sklepowy, ubiór kobiet, typy mężczyzn, widok żołnierzy, fortyfikacye na szczycie góry, jakiś napis, wiadomość bieżąca wyczytana w dzienniku, gdy wieczorem obiadowali w jakiej oberży alzackiej, każda godzina dnia — to wszystko jednemu i drugiemu przypomniało położenie Alzacyi, kraju zdobytego, ale nie przyswojonego.

Pan Ulrich daremnie starał się odpowiadać krótko, jakby niedbale; myśl Jana szła ku rzeczom niewiadomym. A gdy wstępowali na góry, wuj bez przykrości i zdziwienia śledził wzrok młodzieńca, szukającego zachodu, niby twarzy ukochanej. W ten sposób nie patrzył on ani na północ, ani na południe.

Oglądanie lasów trwało dwa tygodnie, a przez ten czas pan Ulrich dwa razy tylko zajrzał do Heidenbruchu i to na parę godzin zaledwie. Rozłączyli się dopiero w niedzielę Palmową, we wsi położonej w dolinie Münster.

Było to wieczorem o tej godzinie, kiedy niemieckie stoki Wogezów mają barwę ciemnego szafiru, a pas świetlany rozciągu się tylko na najwyżej rosnących drzewach, tworzących granice cieniom.

Pan Ulrych Biehler pożegnał już siostrzeńca, w którym w przeciągu dwóch tygodni znalazł najlepszego przyjaciela. Tego samego dnia rano Piotr odjechał koleją żelazną do Obernai.

Pan Ulrych podniósł kołnierz paltota, bo zimno było, gwizdnął na Wiernego i oddalił się od oberży, gdy Jan bez kapelusza zbiegł ze schodów ganku i zawołał:

Jeszcze raz do widzenia.

Wuj poruszył tylko ręką, chcąc ukryć zmieszanie, lękając się przemówić, aby drżeniem głosu nie zdradzić swego wzruszenia.

— Odprowadzę wuja do ostatniego domu wioski — ciągnął dalej Jan.

— Po co? Czy warto przedłużać...

Jan z głową zwróconą w stronę wuja, który znów patrzył przed siebie na drogę, zaczął iść koło niego i odezwał się znów swoim młodym, pieszczotliwym teraz głosem:

— Wuju Ulrychu, żal mi nieskończenie, że rozejść się

musimy i powiem ci, dlaczego. Ty już po pierwszych słowach wszystko rozumiesz i zaprzeczenie twoje łatwo pochwycić; jeżeli nie zgadzasz się ze mną, poznaję to natychmiast po ruchu ust, przyczem koniec brody idzie w górę. Jesteś pobłażliwy, nie łatwo się unosisz; masz wiele stanowczości; pojęcia innych są ci widocznie dobrze znane, bo odpowiadasz im z całą swobodą; szanujesz przytem słabych... Do tego zaś nie przyzwyczajono mnie z tamtej strony Renu.

— Ba! ba!

— Oceniam też twoje o mnie obawy.

— Obawy?

— Tak, czy myślisz, wuju, że tego nie spostrzegłem. Jest sprawa, która mnie roznamiętnia, a ty już od sześciu dni nie chcesz o niej ze mną mówić.

Teraz nie widział już Jan wujowego profilu, bo pan Ulrych zwrócił ku niemu twarz stroskaną.

— Mój chłopcze, umyślnie tak postępowałem. Pytałeś, więc opowiedziałem ci, czem byliśmy i czem jesteśmy. A potem zrozumiałem, że nie należy zbyt wiele o tem mówić, bo utonąłbyś w zmartwieniu. A widzisz, zmartwienie to dobre dla mnie. Ale dla ciebie, młodego, lepiej będzie, gdy rozpoczniesz życie, jak konie, które jeszcze nie biegały i z małym idą ciężarem.

Minęli już ostatnie domy wioski. Stali na polu między potokiem kamienistym a urwiskiem ginącem w lesie.

— Zapóźno! — rzekł Jan Oberlé, zatrzymując się i wyciągając rękę. — Zapóźno, za wiele już powiedziałeś, wuju Ulrychu! Tak jak ty, należę do dawnej epoki. I... niech tam! Skoro mam jutro dotrzeć aż do Szluchtu, pójdę do niej. Pokłonię się naszej pięknej Francyi!

Śmiał się, mówiąc te słowa.

Pan Ulrych pokiwał głową raz i drugi, jakby z naganą, ale nic nie odpowiedział i poszedł dalej, niknąc w zmierzchu wieczornym.

## ROZDZIAŁ VI.
### *Granica.*

Nazajutrz rano Jan wybrał się w góry dla obejrzenia działów leśnych, niedawno przedtem nabytych przez jego ojca. Działy te znajdowały się w lesie Stosswihrskim, na górach, zamykających równinę, po lewej stronie przełęczy Szlucht.

Droga była daleka i ślizka po świeżo spadłej ulewie. Prócz tego Jan stracił kilka godzin na obejście ogromnej skały, która zagradzała ścieżkę. Zaledwie około południa przybył zatem do chatki, zbudowanej z desek i położonej u stóp wyrębu, tam, gdzie się kończyła droga.

Chwilkę porozmawiał z dozórcą Niemcem, który pod okiem administracyi leśnej kierował wyrąbywaniem i wywożeniem jodeł, i zaraz wyruszył dalej, mijając drwali, spieszących z powrotem do dolin, by zajść tam jeszcze przed wieczorem.

Słońce jaśniało jeszcze w całym blasku, chociaż wkrótce skryć się już miało za szczytami Wogezów.

Z bijącem sercem myślał Jan o bliskości granicy, ale nie pytał o drogę przechodniów, chociaż oni go uprzejmie pozdrawiali, ponieważ uważał za punkt honoru ukrywać swoje wrażenia i nie chciał się zdradzić ze swem wzruszeniem przed tymi drwalami, którzy, wracając do domu po ukończeniu roboty, z ciekawością spoglądali na nieznanego turystę.

Wkrótce Jan wszedł do wyrębu, opuszczonego przez drwali. Na zboczach gór bielały jodły, odarte z kory i gałęzi; toczyły się one ze szczytów i nikt nie wiedział, co je wstrzymało na pochyłościach; inne pnie, rozrzucone bezładnie, tworzyły zaporę i podobne były do kostek zapomnianych na stole gry. Na reglach nie było już nikogo — tylko jakiś starzec w ciemnej odzieży klęczał na wilgotnym mchu i składał do chustki zebrane w lesie grzyby. Kiedy nareszcie udało mu się po długich usiłowaniach, zawiązać końce czerwonej szmatki, powstał z ziemi, włożył na głowę płócienną czapkę i dużymi krokami zaczął się spuszczać z góry, szeroko otwierając usta i napawając się leśną wonią.

— Eh! — zawołał Jan — stójcie!

Starzec, niby cień, zatrzymał się między dwoma pniami jodeł i odwrócił głowę:

— Jaka jest najbliższa droga do przełęczy Szluchtu?

— Zejdźcie, panie, za mną do wodospadu, a ztamtąd idźcie w górę z jakich 200 metrów, wtedy spuśćcie się na dół do Francyi, liczne ścieżki zaprowadzą was na przełęcz. **Dobranoc!**

— Dobranoc!

Krótko i głucho słowa jego dźwięczały w pustej przestrzeni! ale niektóre z nich głęboko zapadły w duszę Jana: „Spuśćcie się na dół do Francyi.“ Chciał ją ujrzeć co prędzej, tę tajemniczą Francyę, która tak wiele miejsca zajmowała w jego marzeniach; tę Francyę, która zrywała węzły rodzinne dla tego, że niektórzy ludzie dawnej daty pozostawali wierni jej urokowi; tę Francyę, dla której tylu Alzatczyków poniosło śmierć, a tylu innych ukochało cichą, głęboką miłością, oblewającą smutkiem ich serca. Więc już tak blizko znajdowała się kraina, którą tak zazdrośnie przed nim ukrywano, kraina umiłowana, za którą stryj Ulrych, pan Bastian, jego matka, dziadek Filip i setki, tysiące innych co wieczór słało gorące modły!

Po kilku minutach dosięgnął szczytu i zaczął się spuszczać na drugą stronę. Ale drzewa tworzyły dokoła niego gęste zasłony, pobiegł więc szybko, by odnaleźć drogę i jakieś miejsce odkryte, z któregoby mógł ujrzeć Francyę. Doznawał rozkoszy w tym szalonym biegu z piersią podaną naprzód, szukając ciągle jakiegoś wyłomu w leśnej gęstwinie. Słońce skłoniło się już ku ziemi, powietrze było jeszcze ciepłe — biegł dalej, a jodły ciągle tworzyły gęstą ścianę.

— Stój! — zawołał jakiś człowiek, ukazujący się nagle z po za drzew.

Jan nie mógł się odrazu powstrzymać w swym rozpędzie — po kilku krokach jednak przystanął i zbliżył się do celnika, który go zaczepił. Był to młody i krępy podoficer; oczy jego, otoczone siecią zmarszczek, miały wyraz trochę nieufny, dwa pęczki żółtych włosów przecinały jego krótką twarz o grubych rysach — był to prawdziwie typowy mieszkaniec Wogezów.

Popatrzył na Jana i rzekł:

— Czego, u dyabła biegniesz pan tak szybko, wziąłem pana za przemytnika.

— Szukałem jakiegoś miejsca, z którego mógłbym zobaczyć Francyę.

— Czy to pana interesuje? Pan przybywasz z tamtej strony?

— Tak.

— Ale pan nie jesteś Prusakiem?

— Nie, jestem Alzatczykiem.

Podoficer uśmiechnął się zlekka i rzekł:

— To lepiej.

Jan nie przedłużał rozmowy, nawet zdawał się zapomnieć o pytaniach strażnika, tylko wpatrywał się uważnie w jego rysy, mundur francuski, jak gdyby chciał je uwiecznić w swej pamięci. Ciekawość ta zdawała się bawić podoficera, który, śmiejąc się, przerwał milczenie:

— Jeżeli pan masz ochotę zobaczyć ładny widok, chodź pan ze mną. Pokażę panu taki, który rząd mi ofiarował dla uzupełnienia mojej pensyi.

Zaczęli się śmiać obaj i spoglądali na siebie, pociągnięci jakąś wzajemną sympatyą.

— Nie mamy czasu do stracenia — rzekł podoficer — słońce za chwilę zajdzie.

Poszli szybko pod sklepieniem jodeł, okrążając grupę ostrych, nagich skał, na których stały dwa słupy oddalone od siebie o kilka kroków; słupy te wskazywały, że się kończy państwo niemieckie, a zaczyna Francya.

Przed nimi rozciągał się skalisty przylądek, który ostro odcinał się od otaczającej go zieleni; na tej wązkiej płaszczyźnie, odgraniczona od lasu kamienistą, wznosiła się chatka strażnika, zbudowana z ciężkich jodłowych desek, opartych na grubych belkach.

Z płaszczyzny tej, jak okiem sięgnąć, odkrywał się cudny, rozległy krajobraz. Ziemia, lasy, wioski, rzeki, jeziora Retournemer i Longemer, skąpane były w złotawo-różowych blaskach zachodzącego słońca. Ostatnie jego promienie łagodziły ostre kontury, złociły pola i wrzosowiska.

(Ciąg dalszy nastąpi).

